

Nowe ogrodzenie wokół kościoła

Jako niezbędna inwestycja parafialna była podnoszona od samego początku zmiany proboszczów, jaka dokonała się 18.09.2006 w parafii NSPJ we Wrocławiu-Pawłowicach. Stan poprzedniego ogrodzenia najlepiej ilustrują i dokumentują zdjęcia, jakie zostały wykonane na krótko przed jego rozbiórką. Piękne położenie placu kościelnego przy skrzyżowaniu dwóch najważniejszych ulic Pawłowickich: Starodębowej i Malwowej stanowiło jakby naturalny postulat tego planu, aby go jeszcze bardziej wyeksponować i nadać mu taką rangę, na jaką naprawdę zasługiwał, a więc wizytówki naszego pawłowickiego osiedla.

Te właśnie uwarunkowania dość szybko rzuciły się w oczy nowemu proboszczowi ks. dr. Michałowi Machałowi, który objął tę parafię po ks. dr. Jerzym Żytowieckim. Było tak pewnie na zasadzie, że „nowy widzi trochę inaczej” i z większą ostrością, a może także zdecydowało i to, że poprzednik musiał najpierw bardziej zająć się kościołem i jego stanem wewnętrznym, w jakim go zastał... Tym samym jego następcę pozostawiła, jakby w sposób naturalny, kontynuacja troski o zagospodarowanie jego otoczenia.

Faktem jest, że od samego początku administrowania parafią nowy proboszcz podjął systematyczne starania o przeprowadzenie tejże inwestycji. Bardzo szybko udało się dla niej pozyskać przychylność parafian i mieszkańców tego piek-

nego wrocławskiego osiedla, a także wyłonionej już w okresie wiosennym 2007 roku Rady Parafialnej.

Jeszcze pod koniec 2006 roku, z udziałem p. Jerzego Szachnowskiego, podjęte zostały pierwsze konsultacje z Wydziałem Środowiska i Rolnictwa Urzędu Miejskiego Wrocławia, które ostatecznie już późną wiosną 2007 r. doprowadziły do ustalenia warunków realizacji tego przedsięwzięcia. W międzyczasie podjęte też zostały pierwsze przymiarki projektowe nowego ogrodzenia, którym patronował projektant i architekt Jerzy Gomułka, a następnie przejął jego rolę p. Wojciech Stachowiak. To on też ostatecznie przyjął na siebie niezbyt wdzięczną rolę pokonywania progów administracyjno-formalnych związanych z realizacją tej inwestycji.

Dzięki tym staraniom i po uzyskaniu dodatkowych uzgodnień z TP, Urzędem Gazownictwa i ZDIK-iem została wreszcie udzielona zgoda przez Wydział Budownictwa i Architektury Urzędu Miejskiego Wrocławia na realizację zaplanowanej inwestycji od dnia 17.08.2007 r. W tym czasie musiały się także odbyć urzędowe konsultacje wokół tego projektu z Wydziałem Gospodarczym Kurii Metropolitalnej. W międzyczasie też, drogą konsultacji środowiskowej i poprzez Radę Parafialną, nastąpiło wyłonienie wykonawców ogrodzenia oraz ustalenie sposobu jego finansowania i realizacji. **ciąg dalszy s. 2 ►**

czakowski we Lwowie czy cmentarz na Rossie
w Wilnie

Od zakończenia II wojny światowej minęły już 62 lata, a więc czas, kiedy przemija kilka pokoleń, w tym to, które walczyło o wolność i niepodległość Polski. Tę uwalnianą od hitlerowskiego i sowieckiego okupanta. W Warszawie jest jedyny w swym rodzaju cmentarz na Powązkach, gdzie znajdują się kwatery poległych żołnierzy AK, czyli Armii Krajowej, którzy polegli za ojczyznę w czasie okupacji i Powstania Warszawskiego. Wieleś tych mogił przytłacza, szczególnie kiedy się czyta na tabliczkach wiek pochowanych. Dziś wiele tych mogił ma płyty nagrobne, ale jeszcze niedawno był to las białych, brzozowych krzyży z tabliczkami. Nie tylko na mnie robiły te krzyże przytłaczające wrażenie, ale i wyzwały poczucie dumy, jak „PIĘKNIE MŁODZI CHŁOPCY UMIERALI ZA OJCZYZNĘ”. Pamiętać jednak musimy, że Powstanie Warszawskie, które kosztowało życie prawie 200 tys. żołnierzy i ludności cywilnej, było zbrodnią dokonaną na Polsce i na Polakach przez Niemców. 63 dni krwawej i nierównej walki lewobrzeżnej Warszawy, gdy Armia Czerwona i Polacy – Kościuszkowcy z Berlingiem jako dowódcą stali po drugiej stronie Wisły, na Pradze, **ciąg dalszy s. 3 ►**

11 listopada 2007

11 listopada 2007 roku podczas uroczystej sumy parafialnej dokonano poświęcenia nowego ogrodzenia terenu kościelnego. Aktu poświęcenia ogrodzenia dokonał ks. Wiktor Pałczyński, który przybył do naszej parafii z Ukrainy, ze Lwowa. W głoszonym przez niego



go kazaniu, którego treść nawiązywała do odzyskania przez Polskę niepodległości, zwrócił szczególną uwagę na nasz patriotyzm widziany oczami księdza zamieszkałego od 15 lat na Ukrainie. Podczas mszy św. obecny był poczet sztabiarowy oraz liczna grupa dzieci ze Szkoły Podstawowej nr 39 im. Jana Twardowskiego. W czasie uroczystości wręczono albumy i kwiaty osobom, które szczególnie przyczyniły się do budowy nowego ogrodzenia: Z. Tokarowi, W. Stachowiakowi, J. Nowickiemu, Z. i B. Tomkowom.



Po mszy św. przeprowadzona została zbiórka datków pieniężnych na budowę nowego kościoła we Lwowie, w parafii, której przewodniczy ks. Wiktor Pałczyński. Kierujemy apel i prośbę do mieszkańców Pawłowic i nie tylko o wsparcie finansowe budowy kościoła w parafii ks. Wiktora. Datki można przekazywać ks. Michałowi Machałowi proboszczowi w Pawłowicach, z zaznaczeniem, że są one na ten cel.

Pamięć listopada

Myślę, że warto się zastanowić właśnie w listopadzie, kiedy obchodzimy Wszystkich Świętych i Zaduszki (1 i 2 listopada), co łączy teraźniejszość z przeszłością. Także tą historyczną i patriotyczną. Jest to rzecz ważna, którą C.K. Norwid nazwał pięknie i skrótowo: PRZESZŁOŚĆ TO JEST DZIŚ, TYLKO CO-KOLWIEK DALEJ. A to „nieco dalej” to nasi ojcowie i matki, to nasi dziadkowie, którzy spoczywają na tak wielu nekropoliach krajowych, ale i poza granicami dzisiejszej Polski. Głównie na utraconych wschodnich Kresach Rzeczypospolitej, żeby wspomnieć chociaż cmentarz Ły-



Powstańcy warszawscy

Jerzy Szachnowski

Sama zaś realizacja tej inwestycji odbyła się w okresie od 17.08. do 31.10.2007 r. Wykonana ona została w czterech etapach: 1. – rozbiórkowy, 2. – betonowanie fundamentów i słupków nowego ogrodzenia, 3. – murowanie cokołu i słupów bramy głównej ogrodzenia i wreszcie 4. – montaż elementów konstrukcyjnych, czyli przesł i bram ogrodzenia. Odpowiedzialność za dwa pierwsze etapy tej inwestycji przyjął na siebie emerytowany budowlaniec, parafianin p. Zdzisław Tokar. Korzystał on również ze wsparcia specjalistów, takich jak np. geodeta – p. Marek Pindur, a przede wszystkim olbrzymiej rzeszy WOŁONTARIATU PARAFIALNEGO, który wysiłkiem własnych rąk wspaniale i wielkodusznie włączył się w te prace. Byli tam parafianie każdego wieku i zawodu i, co zasługuje na szczególne wyróżnienie, nie zabrakło tam również udziału MŁODZIEŻY naszej parafii... I dlatego też ten etap realizacji tej inwestycji zasługuje na wyjątkowe uznanie i docenienie, bo świadczy on o tym, że jest to INWESTYCJA, która spełniła ogromną rolę INTEGRACYJNĄ dla całej naszej społeczności parafialnej i osiedlowej. A patrząc w przyszłość,

można śmiało uznać, że w naszym osiedlu tkwi nadal wielki potencjał społeczny, do którego – w razie potrzeby – zawsze można się odwołać jako potencjału niezawodnego i bezinteresownego!

Trzeci etap tej inwestycji znalazł się w rękach również parafianina p. Jana Nowickiego oraz jego pomocników, wśród których należy tu wyróżnić p. Bronisława Koguta i Marcina Królewicza. Był to już etap wymagający wielkiego profesjonalizmu w układaniu, a następnie spoinowaniu klinkierowej cegły, z której zbudowany został cokoł ogrodzenia. Ten etap prac zależny był także bardzo od kaprysów coraz bardziej niestabilnej jesiennej aury... Ale dzięki determinacji także i tej ekipy udało nam się zamknąć ten etap prac zaledwie w ciągu trzech tygodni.

Wreszcie ostatni zarazem i czwarty w kolejności etap prac został wykonany przez p. Bogdana Tomków, mieszkańca Kłokoczyca, którego jednak korzenie rodzinne również wywodzą się z Pawłowic. Od początku realizacji tej inwestycji był on bardzo aktywny i koncepcyjnie działał jakby „na jej zapleczu”. To właśnie dzięki jego pomysłowości i doświadczeniu, a nawet zaangażowaniu

jego żony Zofii, to ogrodzenie zawdzięcza swój ostateczny wygląd i estetykę! To przede wszystkim dzięki temu, że regularnie wykonywał on poszczególne elementy ponad 160-metrowego ogrodzenia, które przecież jeszcze były poddawane procesowi cynkowania ogniowego, w tym dwie bramy i dwie furtki wejściowe, możliwe stało się zmontowanie całego niemal ogrodzenia w ciągu zaledwie jednego tygodnia...

Dalsze karty tej swoistej KRONIKI budowy prezentują jej poszczególne etapy, a także zawierają rejestr wszystkich uczestników realizacji tej społecznej, parafialnej inicjatywy, niezależnie od liczby przepracowanych godzin czy dniówek...

Już na sam koniec pragniemy wyrazić ogromną wdzięczność – w imieniu całej naszej społeczności parafialnej – dla każdego uczestnika tego parafialnego sukcesu, do których należą wszyscy, którzy w jakikolwiek sposób przyłożyli się do powstania tego dzieła... Tą wdzięcznością pragniemy objąć wszystkich członków Rady Parafialnej, a zwłaszcza tych, którzy należą do jej sekcji ekonomicznej, a także ogromną rzeszę ofiarodawców, którzy – mimo że stanowią zaledwie 1/4 część naszej społeczności parafialnej, to potrafili pokryć 2/3 całości kosztów poniesionych na sfinansowanie tej inwestycji, zwłaszcza gdy chodzi o koszty materiałowe!

Niech za to wszystko Dobry Bóg, najważniejszy Gospodarz tego malowniczego zakątka przy skrzyżowaniu Starodębowej i Malwowej, hojnie Wszystkim wynagrodzi i POBŁOGOSŁAWI!

ks. Michał Machał, proboszcz



Moje miejsce...

Czasami żałuję, że nie jestem kobietą. Kiedy kilka dni temu, spacerując z żoną w okolicach uniwersytetu, natrafiliśmy na to miejsce, nie przyszłoby mi do głowy, że chętnie tu kiedyś wrócę. Na dodatek sam, bez żony, i nie „kiedyś”, a po kilku dniach zaledwie.

Jako typowy mężczyzna nie znoszę wchodzić do sklepów, zwłaszcza tych z odzieżą. Stąd postanowienie, by poczekać na żonę na zewnątrz. Po upływie godziny jednak wprowadzono mnie do środka. Posadzono w fotelu i do rąceczek dano książeczkę, której nawet nie otworzyłem. Moją świeżo odzyskaną dziecięcą podkreślał fakt, że ponoć już wtedy miałem wytrzeszczone ze zdziwienia oczy. Po kolejnej godzinie wychodziłem ze sklepu, a już na pewno nie odzieżowego.

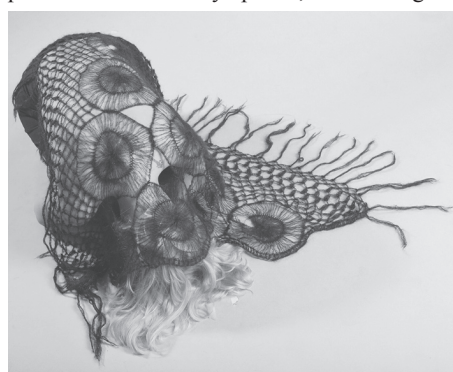
W drodze powrotnej, gdzieś tak w okolicach placu Bema, zaczęliśmy się wspólnie zastanawiać... Żona pierwsza sformułowała pytanie:

– Słuchaj, tak właściwie to kim jest ta pani Gosia? Charyzmatyczną sprzedawczynią, uskrzydloną tego „sklepu” właścicielką, czy też natchnioną kreatorką?

Po kilku dniach wróciłem. Wróciłem tam też po to, by na te pytania, inne być może również, uzyskać odpowiedź. Wróciłem tam trochę jako jakby dziecko, marząc jednak po cichu i prawie ze nieświadomości o tym, by móc być kobietą. O ile bardziej komfortowo wygląda-

łyby moja sytuacja! Jako mężczyźni, którym wciąż formalnie pozostawałem, nie wypadało mi wszystkimi tymi cudnikami się zachwycać, podziwiać je, dotykać...

Nie poznawałem siebie samego. Ja, który kolorami interesowałem się co najwyżej dwoma naraz, przy okazji oglądania w telewizji sportowych rozgrywek, wiedziony byłem na pokuszenie w okrutny sposób, i to według re-



guł, które pozostawały dla mnie niezrozumiałe. Nie udawało mi się zapanować nad ocznymi gałkami. Wypowiedziawszy wojnę mojej wolnej woli, ba, całemu mózgowi mojemu nawet, robiły, co chciały. Ślizgały się po wściekle, zmysłowo delikatnych muslinach, wwierały się w mięso zgrzebnych tweedów, pasły się, co mówienia! bulimicznie pożerały barwy, których istnienia wcześniej nawet nie podejrzewałem.

Ja, który – jak dotąd – z przyjemnością dotykałem tylko jako mąż, nie wiedzieć kiedy

przemieniłem się w rodzaj jakiegoś chorego daktylomaniaka. Pomiędzy palcami przepuszczałem strumyczki jedwabiu, dłoń topiłem w mierzwie gęsto plecionych mohairów, gąłem się pod wodospadem zlewnych kaszmirów.

Żakardy obnażały bezwstydnie swe tajemnicze kody, w których motyw był jedynie kluczem do raj. W haremie tym, niczym w egzotycznej ptaszarni, ciasno też było od głosów. Niczym poruszony piasek szeptały szyfony, wielbłądzie runo, choć miało zwyczaj nabierania w usta wody, mruczało swoje pustynne murmurando, w licznych oazach szeleściły czesankowe wełny...

– Pan, zdaje się, wrócił po ten szal dla żony, ten kobaltowy, w którym było Jej tak dobrze, prawda?

Drgnąłem. Głos Pani Gosi zadźwięczał delikatnie, niczym głos Poławiaczki Perle... Nie wiem dlaczego, ale tak właśnie pomyślałem. Ocknąłem się, z przerażeniem konstatając, że między palcami lubieżnie ścisłami delikatne ciało kobaltowej właśnie wełny... Chyba się zarumieniłem.

– Tak... tak, dzień dobry Pani, no właśnie...

„Sklep” Zozo Hara mieści się na placu Uniwersyteckim 15A. Otwarty jest codziennie od 10.00 do 18.00, w soboty do 16.00. Oprócz szali znajdują tam Państwo nakrycia głowy, rękawiczki, a nawet torebki i biżuterię.

Krzysztof Cezary

Pamięć listopada

dokończenie artykułu ze strony 1

czyli prawobrzeżnej Warszawie, i patrzyli bezczynnie na jej heroiczną walkę. Z rozkazu Stalina nie udzielono powstańczej Warszawie żadnego wsparcia i pozwolono zmasakrować i zniszczyć miasto, stolicę kraju. Jest to zbrodnia wojenna nie mniejsza niż mord dokonany na jeńcach wojennych, polskich oficerach w Katyniu, do którego Rosja oficjalnie przyznała się dopiero za czasów prezydentury Borysa Jelcyna. Niestety, nowy prezydent Rosji, czyli W. Putin, oraz prokuratura rosyjska nie chce jej uznać za zbrodnię ludobójstwa. Świat milczał, nie chciał sobie psuć niezłych stosunków ze Związkiem Radzieckim i Stalinem, choć doskonale wiedział, co kryje się za słowem Katyń.

Pamięć o zmarłych, poległych i zamordowanych, obrońcach Ojczyzny, o tych, którzy odeszli na zawsze, wraca szczególnie w okresie Wszystkich Świętych i Zaduszek. To czas refleksji i zadumy nad przemijaniem i śmiercią, jej nieuchronnością. Kiedy jednak spoglądamy choćby na cmentarz Osobowicki i znajdujemy na nim nie tak dawno odsłonięty pomnik ku czci zamordowanych przez komunistów polskich wielu żołnierzy Armii Krajowej, Narodowych Sił Zbrojnych, innych formacji niepodległościowych, robi się nam nieswojo. Polacy mordujący Polaków tylko dlatego, że mieli inne przekonania polityczne i nie wyrażali zgody na nową, sowiecką niewolę. Dotyczy to głównie lat 1945-1956, kiedy terror komunistyczny panował się w naszym kraju, a Armię Krajową i jej żołnierzy nazywano zapłutymi karłami reakcji i skazywano ich w politycznych procesach na kary śmierci i długoletnie więzienia. Ci, których prochy spoczywają na cmentarzu Osobowickim, zamordowani zostali skrytobójczo w więzieniu przy ul. Kleczkowskiej, ich ciała przewieziono na Osobowice i bezimiennie pochowano w zbiorowych mogiłach. Ślady mogił zatarto i tylko dzięki zbiegowi okoliczności i badaniom ziemi odkryto prochy pomordowanych, ustalając, że należą one do akowców, których przetrzymywano na Kleczkowskiej, przesłuchiowano i często torturowano, a po zapadnięciu wyroku śmierci – zabijano i skrycie chowano na cmentarzu Osobowickim. **DZIŚ MOŻEMY CZCIĆ ICH PAMIĘĆ**, a jeszcze niedawno deptane były ich prochy ukryte w ziemi, pochowane bez czci i szacunku, zhańbione i po barbarzyńsku potraktowane. Nie wiemy, ile



Tablica na cmentarzu Osobowickim przy grobach żołnierzy zamordowanych po wojnie

ofiar terroru komunistycznego leży tam pochowanych, ale są ich setki. Ile jest miejsc w Polsce, już odnalezionych i tych ciągle nieodkrytych, w których leżą pochowani akowcy? Bardzo wiele. Chciałoby się powiedzieć – za dużo. Prawie nikt z oprawców stalinowskich z tamtych czasów nie został ukarany, a jeżeli, to raczej symbolicznie. Przykładem niech będzie pan Humer – dziś starzec, którego ze względu na wiek nie zamknięto w więzieniu.

Akowcy walczyli w największej podziemnej armii w Europie w czasie II wojny światowej z okupantem hitlerowskim. Na rozkaz ostatniego dowódcy AK, gdy na ziemię polską wkraczała Armia Czerwona, żołnierze wychodzili z podziemia i ujawniali się instalującej się władzy komunistycznej. Nie wszyscy jednak usłuchali rozkazu i nadal działali w podziemiu, występując zbrojnie przeciw nowemu wrogowi, za którego uznali komunistów. Bezpardonowa walka z „bandytami”, jak ich nazywano, trwała do końca lat czterdziestych. Okres powojenny, tzn. do 1949 roku, można nazwać dziś łagodnym. Ujawnieni akowcy czuli się źle w sowietyzowanej ojczyźnie, ale na razie dawano im spokój. Od 1949 roku do przełomu październikowego w 1956 roku trwał okres stalinowski w Polsce. To wówczas zaczęto masowo aresztować byłych akowców, pod różnymi pretekstami, głównie oskarżając ich o kolaborację z Niemcami, zdradę kraju i szpiegostwo na rzecz imperiaizmu amerykańskiego, antyrządowe knowania i formowanie podziemia, które miało obalić ustrój komunistyczny w Polsce. Aresztowano i zamknięto w więzieniach tysiące osób, wszczęto wobec nich postępowania sądowe, poddano torturom (wielu z nich zmarło w trakcie śledztwa) i mimo braku jakichkolwiek

dowodów (preparowano je, podstawiano fałszywych świadków, zmuszano torturami do przyznania się do winy, podpisania wymuszonych protokołów) skazywano na wiele lat więzienia, dożywocie i kary śmierci. Jednym z najcięższych więzień, gdzie osadzono skazanych i wykonywano karę śmierci, było wrocławskie więzienie przy ul. Kleczkowskiej. Stąd odnalezione mogiły i prochy ofiar na cmentarzu Osobowickim, które uczczone zostały pomnikiem z wielkim napisem **OFIAROM TERRORU KOMUNISTYCZNEGO 1945-1956** i prośbą do symbolicznego **PRZECHODNIA**, aby pochylił głowę przy ich prochach.

Represje wobec akowców ustały po 1956 roku, wielu pomordowanych i skazanych zrehabilitowano. Ale właściwie dopiero rok 1989, kiedy komunistów odsunięto od władzy i powstała wolna i suwerenna Polska, akowcy doczekali „swoich dni”. Wielu przyznano odznaczenia i medale, doceniając ich zasługi dla walki o niepodległość i wolność kraju. Stała się sprawiedliwość dziejowa. Późno, bo na starość. Dziś pokolenie akowców powoli odchodzi, starzeje się i umiera. Powinniśmy o nich pamiętać nie tylko z okazji Wszystkich Świętych i Zaduszek. To bohaterowie, którym stała się krzywda dziejowa, późno naprawiona. Najsmutniejsze jest jednak to, że to Polacy, komuniści polscy, zgotowali im taki los. Jak tym, których kości spoczywają na cmentarzu Osobowickim. Nie znamy miejsca pochówku zamordowanego przez komunistycznych oprawców generała Nila-Fieldorfa, którego symboliczny pomnik znajduje się na cmentarzu Powązkowskim w Warszawie (pani prokurator Wolińska, która wydała na niego wyrok śmierci, dożywa swoich dni w Londynie, a władze Wielkiej Brytanii nie chcą jej wydać władzom RP). Nie znamy miejsca pochówku rotmistrza Pileckiego, uznanego za jednego z najodważniejszych ludzi świata, bo sam dał się złapać, aby trafić do obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu, uciekł stamtąd (jedna z niewielu ucieczek z Auschwitz), dostał się do Anglii i przekazał aliantom wiedzę o obozach zagłady. Jako cichociemny wrócił do Polski, walczył w Powstaniu Warszawskim. Władze komunistyczne aresztowały go i „za zdradę” skazały na karę śmierci. Przykro mówić o Polakach, którzy swoich bohaterów mordowali. Tylko czy można ich jeszcze nazwać Polakami? **CZEŚĆ WIĘC PAMIĘCI POMORDOWANYCH**. Tyle nam pozostało.

Krzysztof Bauer



Problem emigracji a współczesna rodzina

„Pierwszym miejscem, gdzie rozpoczyna się proces wychowawczy (...) człowieka, jest dom rodzinny (...) rodzice mają obowiązek stworzenia takiej atmosfery rodzinnej, przepełnionej miłością i szacunkiem do Boga i ludzi, która by sprzyjała osobistemu i społecznemu wychowaniu dzieci”

Jan Paweł II

Podstawowym zadaniem rodziny jest zapewnienie sobie nawzajem bezpieczeństwa i wychowanie dzieci. Jednak współczesny świat umniejszył znaczenie rodziny, degradując ją do rangi grupy, której zadaniem jest zapewnienie godnego bytu, ale tylko pod względem materialnym. Coraz częściej można się spotkać z rodzinami, które pogrążyły się w rutynie codziennych czynności pozbawionej jakiegokolwiek podłoża emocjonalnego. Wszystkie obowiązki wykonywane są machinalnie, a jedynym celem staje się pogoń za pieniądzem.

Dzięki wstąpieniu do Unii Europejskiej Polacy zyskali możliwość pracy na zagranicznym rynku, który zapewnia większe zarobki i lepsze warunki pracy. Jak dobrze wiemy, sytuacja gospodarcza Polski zmusza ludzi do wyjeżdżania za chlebem. Oznacza to, że członkowie poszczególnych rodzin zmuszeni są do opuszczenia domu i poszukiwania pracy na obczyźnie.

Praca za granicą ma oczywiście swoje plusy: lepsze zarobki, lepsze świadczenia zdrowotne, możliwość nauki obcych języków w praktyce, perspektywa poprawienia poziomu

materialnego rodziny. Pieniądze – to główna przyczyna emigracji. Jednakże czy jest to wystarczający powód, aby pozostawiać swych współmałżonków oraz dzieci i samotnie wyszukać w poszukiwaniu pracy.



Matka z dwójką dzieci wspólnie przygotowują ciasto. To właśnie w rodzinie dzieci zdobywają pierwsze praktyczne umiejętności przydatne w dorosłym życiu

Wyjazd do obcego kraju jest najczęściej długą rozłąką, w trakcie której trzeba przyzwyczaić się do nowej sytuacji, że jedna osoba jest w domu gościem, który przyjeżdża tylko na święta, z drugiej strony odośrobinienie za granicą i tęsknota za domem. Nic nie rekompensuje straconych chwil, żadne pieniądze ani podwyższenie poziomu życia nie odda minionego czasu. W tym czasie dzieci dorastają, żony i mężowie przyzwyczajeni do nieobecności współmałżonka zmieniają się, rodzi się żal, pretensje, rozdrażnienie, już nie potrafimy porozumieć się w inny sposób niż

poprzez klótnie. W końcu „to wszystko dla was, dla rodziny, poświęcam się i pracuję za dwóch dla was”. A gdzie „my”? Co się stało z tym, co nas łączyło? Przecież jesteśmy rodziną.

W takich sytuacjach odchodzimy nie tylko od siebie nawzajem, ale i od Boga. Pogrążeni w złości często zapominamy, że ratunkiem dla nas – katolików – jest nasza wiara i modlitwa. Nawet gdy jesteśmy rozłączeni, powinniśmy pamiętać o naszych bliskich w modlitwie i trwać silnie w wierze.

Niestety, realia pokazują, że coraz więcej małżeństw rozpada się właśnie z powodu emigracji. Żyjąc osobno, przyzwyczajają się do myśli, że tej drugiej osoby nie ma obok nas, tylko żyje tysiące kilometrów od domu. Poczucie tęsknoty, wyrzuty sumienia i żal nie są najlepszymi doradcami. Przyzwyczajenia sprawiają, że już nie potrafią żyć razem i cieszyć się z tego, co udało im się zdobyć.

Widząc rozpad polskich rodzin, mogę z całą pewnością stwierdzić, że emigracja zagraża życiu rodzinnemu w naszym kraju i nikt tego nie może powstrzymać prócz rodzin, które żyją w rozłące z powodu pracy za granicą. Tylko wiara w lepsze jutro i siła miłości i zrozumienia dla siebie nawzajem pozwoli na ponowną „naukę” życia razem.

Dlatego też, mimo przeszkód pojawiających się przed nami, powinniśmy uparcie trwać w przekonaniu, że rodzina to rzecz święta i musimy o nią dbać.

Magdalena Zielonka

Z życia wzięte

Jak to w tej Wielkiej Brytanii bywa? A bywa różnie.

Córka cztery lata temu pojechała do Szkocji, aby zarobić na studia. Trafiła fatalnie, to był koniec lipca i takich jak ona było tam wielu, a pracy znacznie mniej. W połowie sierpnia dostała pracę w barze, gdzie pracowała w godzinach od 18.00 do 1.00 w nocy z piątku na sobotę i z soboty na niedzielę z płacą 50 funtów za te dwa dni pracy, wypłacane dopiero w następny piątek, jak zgłosiła się do pracy. Za łóżko w pokoju wieloosobowym płaciła 35 funtów tygodniowo. Płaca ta nie wystarczała na wyżywienie i dojazd do pracy w barze. Dobrze, że przed wyjazdem otworzyła sobie konto bankowe, na które wpłacano (tu w kraju) drobne kwoty, które tam wybrane w bankomacie pomogły jej przetrwać. W połowie września, gdy już część studentów rozpoczęła powrót do kraju, córka dostała pracę w hotelu i zakomunikowała nam, że nie zarobiła na studia, więc musi zostać. W hotelu najpierw było sprzątanie pokoi, a po pół roku awans na pracownika biu-

rowo-administracyjnego. Za zmianą stanowiska poszła podwyżka płacy. Po dwóch latach pracy zmieniła ten hotel na hotel o wyższej kategorii i pracę wyłącznie biurową – układanie planów, harmonogramów pracy i nadzór nad pracownikami. Następny awans po roku pracy i przeniesienie do hotelu w Londynie na stanowisko obsługi rezerwacji komputerowej z płacą 17.000 funtów rocznie (tam nie podaje się płacy miesięcznej, wszystkie angaże opiewają na płacę roczną). Ponadto przez czas pobytu na Wyspach córka studiowała w Polsce zaocznie, przylatując do kraju raz lub dwa razy w miesiącu na zajęcia i wykłady na uczelni. Po licencjacie córka zaczęła rozglądać się za pracą w swoim zawodzie. I udało się. Już od ośmiu miesięcy pracuje w zawodzie. Przez pierwszych sześć miesięcy na stażu płaca była dość niska i znów trzeba było trochę finansowo jej pomóc. Obecnie po stażu awansowała na wyższe stanowisko i jej płaca również wzrosła do 16.000 funtów rocznie. Jest zadowolona i zamierza kontynuować naukę na studiach magisterskich, oczywiście w Polsce.

Dwa lata po córce do Szkocji wyjechał syn z dziewczyną. Ten to znalazł ziarenko jak śle-

pa kura. W tydzień „załapał” pracę marzenie dla obcokrajowców. Razem z dziewczyną, siedząc na ulicznych schodkach, zastanawiali się, gdzie tu jeszcze szukać pracy (to również był lipiec), gdy usłyszał ich rozmowę Polak, który mieszka tam już jakiś czas. Zaproponował im kontakt ze Szkotem, który chciał zatrudnić studenta prawa do pracy w biurze zatrudnienia. Nie mieli nic do stracenia. Przyjęli propozycję, a po rozmowie ze Szkotem syn rozpoczął pracę w biurze. Pracuje tam już dwa lata, dobrze zarabia, jest zadowolony i po rocznej przerwie kontynuuje przerwane studia w Polsce. Również jego dziewczyna (obecnie narzeczona) pracuje w tym biurze, jest zadowolona, a pierwsze pół roku pracowała w hotelu, sprząając pokoje.

Cała trójka ma przed sobą perspektywy dalszych awansów i wzrostu płac.

Obojgu bardzo pomogło to, że znali dobrze język angielski, tak wymagany przez Brytyjczyków przy oferowaniu pracy, i są komunikatywni. Córka już zadeklarowała, że zostanie w Anglii, syn z narzeczoną jeszcze nie podjęli decyzji. I tylko nam, rodzicom, bardzo smutno, że dzieci tak daleko.

(WG)

HIPOKRYZJA

Przez pewien okres czasu, kiedy władza ludowa zabroniła mi pracy w szkole z uczniami, z konieczności podjąłem pracę w Ośrodku Leczenia Odwykowego (OLO) przy ul. Kraszewskiego. Dla tych, którzy nie wiedzą, przypomnę, że przy tej ulicy mieści się szpital psychiatryczny, a OLO to jeden z jego oddziałów, który zajmuje się leczeniem uzależnienia od alkoholu, czyli alkoholikami. Głównie mężczyznami, bo kobiety alkoholice leczone są na oddziale psychiatrycznym. Ich uzależnienie jest głębsze i trudniejsze do leczenia, jak resztą wszystkie inne uzależnienia, łącznie z narkomanią i seksoholizmem. Rokowania są na ogół pesymistyczne, bo biologizm kobiety jest silniejszy niż mężczyzny, bardziej pierwotny i umocowany w głębszym uzależnieniu kobiety od natury, czyli przyrody. Dlatego obserwowane przeze mnie przypadki uzależnienia od alkoholu kobiet z reguły kończyły się tragicznie, a wyleczenia zdarzały się sporadycznie. Odsłonek wyleczonych z alkoholizmu mężczyzny jest wyższy, jeżeli w ogóle można mówić w sensie medycznym o wyleczeniu. Bo polega ono na absolutnej izolacji od picia alkoholu. Każdy kieliszek wódki lub piwa to powrót do uzależnienia. Odwrotu nie ma. Znow się powraca do picia i wraca choroba alkoholowa.

Nie mam zamiaru pisać o tym, jak postępuje choroba alkoholowa, która nieleczona prowadzi do zaniku mózgu i śmierci w okrutnych mękach. Nie tak dawno typowy alkoholik zabił siekierą dziewczynkę zostawioną mu pod opieką, gdyż zobaczył w niej diabła. Alkoholicy w delirium tremens widzą atakujące ich diabły, realnie obcuja z nimi – tak im się wydaje, bo są to oczywiście wytwory ich chorej psychiki. Mówienie, że alkoholik widzi białe myszki, jest prawdą, która wydaje się nam zwykłym zwrotem frazeologicznym. Tak nas śmiesz to powiedzenie, bo jest zabawne, ale tutaj zaczyna się horror uzależnienia od alkoholu. Najpierw widzi się białe myszki, potem w fazie delirium tremens twarze szatanów lub ich ataki, najczęściej zbiorowe, na alkoholika.

Każdy znający się choćby trochę na chorobie alkoholowej wie, że piwo jest alkoholem, tyle że niskoprocentowym. Dlatego prawo zabrania jego sprzedaży osobom niepełnoletnim. U nas to prawie czysta teoria, bo picie piwa przez nastolatków, młodocianych, często jeszcze dzieci, jest plagą społeczną. Niewiele się na ten temat pisze, mówi lub ogląda w telewizji. A reklama piwa w telewizji odbywa się w sposób tak perfidny i nachalny, często prymitywny, że picie i używanie piwa przy każdej okazji dociera do młodocianych jako rzecz godna pochwały, męska, „rozrywkowa”, potrzebna i pożądana. Oprócz reklamy środków farmaceutycznych, która zalewa telewizję, drugą najczęściej przedstawianą w sposób maniacki i nachalny jest reklama piwa. Ustawa antyalkoholowa zabrania reklamy alkoholu, dlatego dziwi mnie ten zalew reklamy piwa. Skoro piwo jest niewątpliwie alkoholem, dlaczego pozwala się na jego reklamę. Nie słyszałem, nie czytałem, nie oglądałem żadnej akcji

sprzeciwiającej się reklamowaniu piwa. A tak głośno, wrzaskliwie i często nachalnie, bez zachowania zdroworozsądkowego umiaru robi się akcje (na całym świecie) antynikotynowe. Nie wiem, ile milionów ludzi zabija alkohol (w tym piwo) na świecie, ile miliardów dolarów czy złotych idzie na leczenie alkoholików (nie mówiąc już o narkomanach), bo tych danych się nie podaje. Częściej (przesadzone zwykle) takie dane podaje się o palaczach papierosów i ich chorobach spowodowanych paleniem. Nie mówiąc już o odstraszających napisach na pudełkach z papierosami. Jakoś na butelkach piwa, wina i wódek owych odstraszających napisów nie ma. Jedynie w sklepach monopolowych lub stoiskach z alkoholem wiszą prawie niewidoczne tabliczki z napisem: ALKOHOL SZKODZI ZDROWIU. I tylko tyle w walce dotyczącej rozpowszechniania się alkoholizmu. Skąd ta absolutnie niezrozumiała dysproporcja związana z akcjami antynikotynowymi (dni bez papierosa w prasie, radiu i nade wszystko w telewizji) o ogromnym zasięgu i mikroakcje dotyczące alkoholu. Nikotyna zabija i alkohol zabija. Obydwie używki w długim okresowo czasie, w porównaniu choćby z narkotykami.

Tytuł mojego felietonu to HIPOKRYZJA, czyli zakłamanie. A odnosi się on właśnie do reklamy PIWA, chytrej, przebiegłej i li tylko przedstawiającej jego ZALETY. Piwo wad nie ma i można je pić niemal jak wodę mineralną, bo łączy pary, powoduje świetne kontakty towarzyskie, doskonałą zabawę, dodaje animuszu, męskości i czego tam jeszcze nie osiąga się, pijąc piwo.

Alkoholizm (choroba alkoholowa) zaczyna się od picia piwa. Pracowałem wiele lat w szkole jako nauczyciel. Jeździłem na wycieczki czy rajdy turystyczne i nie miałem problemów z piciem alkoholu przez młodzież, a jeśli, to sporadycznie. Na studniówkach dotyczył on bardziej nauczycieli niż młodzieży, co uważałem (i uważam) za wstyd dla uczących. Okres tzw. transformacji ustrojowej, już prawie 20-letni, przyniósł rozwój browarnictwa i zalew piwem placówek handlowych. Picie piwa stało się czymś w rodzaju mody, „dobrym zwyczajem”, sposobem na spędzenie wolnego czasu w pubach, które powstają jak grzyby po deszczu. I hektolitry wypitego w nich, w domach, na imprezach piwa przez nastolatków, małałatów, niepełnoletnich. Przestałem jeździć na wycieczki, bo plaga picia piwa przez młodzież była nie do opanowania. Dzisiaj (wiem o tym doskonale i nie ukrywam, jak to czynią władze oświatowe) nauczyciele piją piwo z młodzieżą nagminnie przy okazji wycieczek szkolnych lub innych imprez. Kibice na meczach sportowych chleją i żłopią piwsko, robiąc potem burdy i zadymy, często kończące się walką z policją i dewastacją stadionów. Picie piwa wszędzie gdzie się da i w każdych ilościach stało się maniactwem i czymś w rodzaju przymusu towarzyskiego. Zapijanie piwem narkotyków to zwyczajność i normalna na różnych imprezach młodzieżowych. Piwo piją chłopcy i dziewczyny, nie ma różnic płci w jego używaniu i nadużywaniu. Pokolenie młodych (studentów nagminnie) Polaków, to pokolenie chlejących i żłopających piwo (puszkowe

2	1	14	15	16	41	40
3	12	13	18	17	38	39
4	11	20	19	36	37	
5	10	21	22	35	34	33
6	9	24	23	28	29	32
7	8	25	26	27	30	31

>3

Rozwiązanie zadania
ze strony 15



i butelkowe) przy każdej nadarzającej się okazji. Dziewczyna śmierdząca odorem piwa albo nim ululana to „normalka”. Męskość utożsamiana dotąd z piciem piwa i wódki, tak łatwo przeszła na tzw. słabą pleć. Kobieton, chłopobaba, czy raczej babochłop to wynik równouprawnienia kobiet i mężczyzn, a często i feminizmu. Kobieta-piwośz to dziś normalny widok. Natomiast mężczyzna w sukni czy spódniczce to widok rzadki, bo zdarzający się na gejparadach. Uniformizacja płci (głównie „umężczyźnianie” się kobiet) zatacza coraz szersze kręgi. Piwo, jego używanie i nadużywanie stało się jednym z katalizatorów zrównywania się w prawach i obyczajach płci. Odegrało i odgrywa dalej negatywną rolę, bo degraduje kobiety i degeneruje bardziej niż mężczyzn. Nie mówi i nie pisze się o tym, że „nalana” piwem kobieta nie tylko nie pachnie najlepiej, ale pozbawiona jest tego, co nazywa się wdziękiem i kobiecością w ogóle. Tutaj też kryje się hipokryzja, bo żadna kobieca gazeta (a jest ich zatrzęsienie) nie pisze na ten temat. Reszta hipokryzja nie tylko dotycząca piwa i jego promocji oraz picia jak wody mineralnej, ale wielu zjawisk kulturowych i obyczajowych, jest wszechwładna i wszechobecna. Zaczyna się od picia piwa, kończy się na uzależnieniu alkoholowym. Każdy terapeuta „od alkoholików” to wie. To, co się dzisiaj dzieje z tzw. kulturą picia piwa, to pochwała chłania i żłopania alkoholu, który szybko uzależnia. A przed tym należy chronić młodzież. Czego się nie robi, bo sprzedaż piwa to ogromne zyski browarów. Niech więc nam rosną nowe pokolenia alkoholików. Forsa, kasa ponad wszystko. To dziś zwycięża.

Krzysztof Bauer

Przybliżanie historii – marszałek Józef Piłsudski

Wprawdzie marszałek Józef Piłsudski od kilkunastu lat odzyskuje należne mu miejsce w historii Polski, to jednak, jak pokazują sondy dziennikarskie na ulicach polskich miast, dla wielu Polaków, zwłaszcza młodych, odpowiedź na pytanie „kto to był Piłsudski?” okazuje się zbyt trudna. Tak obojętne postawy narodowe muszą budzić niepokój, uderza też kontrast z postawami np. młodych Amerykanów, namiętnie noszących koszulki z nadrukiem np. I love NY, I ♥ America.

Uznaliśmy zatem, że Święto 11 Listopada jest dobrą okazją do przybliżenia postaci Marszałka tym, którzy zechcą uzupełnić braki w znajomości historii swojego kraju.

Józef Piłsudski to jeden z najwybitniejszych Polaków XX stulecia. Celem, jaki sobie postawił, było doprowadzenie do odzyskania przez Polskę niepodległości, co po 120-letnim braku państwowości polskiej, intensywnych działaniach wynarodowiających prowadzonych przez zaborców, braku w szczególności armii – mogło wydawać się najzupełniej nierealne.

Na osobowość późniejszego Komendanta, jego dążenia i działania zasadniczy wpływ wywarło wychowanie w tradycji głęboko narodowej. Stąd już w gimnazjum dawał wyraz sprzeciwu wobec carskiego zaborcy, np. używając mowy polskiej, która przez cara była zakazana. Miał zaledwie lat 15, gdy wraz ze starszym bratem Bronisławem utworzyli tajną strukturę samokształceniową, w ramach której zapoznawano uczestników z literaturą polską, krzewiono poczucie patriotyzmu i honoru. Maturę zdał w 1885 r., po czym rozpoczął studia medyczne w Charkowie. Równolegle aktywnie uczestniczył w nielegalnych demonstracjach politycznych, przez co areszt stał mu się dobrze znany. Na początku 1887 r. został aresztowany pod zarzutem udziału w spisku na życie cara, po czym skazany na 5 lat zesłania na Syberii. Po powrocie do Wilna w 1892 r. wstąpił do nielegalnie działającej Polskiej Partii Socjalistycznej, w jej ramach wydaje pismo „Robotnik”. Wydawnictwo to zostało zakończone na 35. numerze, jako że wówczas właśnie agenci carscy wpadli na trop tajnej drukarni i Piłsudski w nocy z 21 na 22.02.1900 r. zostaje ponownie aresztowany, a następnie zamknięty w Cytadeli warszawskiej, zagrożony karą śmierci. Za poradą lekarza symuluje chorobę psychiczną, przeniesiony do szpitala, ucieka, korzystając z pomocy polskiego lekarza. Przedostaje się do Galicji, gdzie kontynuuje działalność polityczną w PPS. Żeby zdobyć fundusze na zakup broni, członkowie PPS świadczą usługi wywiadowcze na rzecz Japonii, która prowadzi wówczas wojnę z Rosją. Piłsudski latem 1904 r. pojechał nawet do Tokio, by starać się o poparcie władz Japonii dla sprawy polskiej na arenie międzynarodowej. Piłsudski był świadom, że bez stworzenia siły militarnej odzyskanie suwerenności przez Polskę nie będzie możliwe. Pogląd co do drogi dochodzenia do suwerenności, a nawet co do samej suwerenności, doprowadził w PPS do podziału – Piłsudski z częścią towarzyszy opuszcza PPS i tworzy PPS – Frakcję Rewolucyjną. Rozpoczyna tworzenie oddziałów bojowych, w ramach

których ochotnicy przechodzili przeszkolenie wojskowe, zdobywali doświadczenie bojowe w walce z carską policją, zdobywali pieniądze na zakup uzbrojenia, np. zatrzymali pociąg pocztowy wiozący pieniądze skarbowe do Petersburga, zgarniając wówczas ponad 200.000 rubli. Przy udziale Kazimierza Sosnkowskiego i Władysława Sikorskiego organizuje struktury wojskowe powołanego w 1908 r. Związku Walki Czynnej. W 1910 r. powstają pierwsze Drużyny Strzeleckie. Dzień 6 sierpnia 1914 r., tj. w dzień, w którym Austro-Węgry wypowiedziały wojnę Rosji, stał się historycznym dniem w dziejach wojska

był brak dostatecznej ilości uzbrojenia, łączności technicznej, a nawet drutu kolczastego niezbędnego do stawiania zasieków wzdłuż linii frontu. Największą siłą legionistów była pełna poświęcenia determinacja, bez której nie wytrwaliby, walcząc np. na Wołyniu, w rozległych lasach pełnych bagien. Komendant swoją postawą żołnierza na polu walki zdobył bezgraniczne zaufanie swoich żołnierzy – był wszędzie, gdzie potrzebowano jego wsparcia, był w okopach, doglądał rannych, pił tę samą niesłodzoną czarną kawę, jadł to samo marne jedzenie – był jednym z nich. Nie ustając w wysiłkach



Towarzystwo im. Józefa Piłsudskiego

polskiego – sformowana ze Związków i Drużyn Strzeleckich I Kompania Kadrowa wyruszyła z Krakowa, kierując się ku ziemiom zaboru rosyjskiego, niosąc w sercach i w pieśni hasła oswobodzenia ojczyzny. Piłsudski był pewien, że Polacy z zaboru rosyjskiego wesprą liczebnie jego oddziały w dążeniu do obalenia zaborcy. Niestety, nic takiego się nie stało – mieszkańcy tego zaboru pozostali bierni, obawiając się represji. Wkrótce po wybuchu wojny na bazie Pierwszej Kadrowej zaczęto formować Legiony.

Najbardziej dotkliwym problemem, przynajmniej w początkowym okresie wojny,

w tworzeniu regularnej armii polskiej, organizuje kolejne oddziały w ramach konspiracyjnej Polskiej Organizacji Wojskowej. Państwa centralne, wobec rosnącej przewagi Rosji na froncie, bardzo potrzebowały wsparcia ich armii przez oddziały polskie i aby to wsparcie sobie zapewnić, w dniu 5.11.1916 r. zadeklarowały utworzenie samodzielnego państwa polskiego, niestety, tylko na obszarze b. zaboru rosyjskiego. Nie mogło to już jednak zmienić losów wojny. Komendant od początku w swoich rachubach uwzględniał klęskę państw centralnych i planował zmianę frontu. Zdecydował się za-

tem na odmowę złożenia przysięgi na wierność aliancom, w konsekwencji czego został internowany i z dniem 22 lipca 1917 r. osadzony w twierdzy w Magdeburgu. Z internowania wraca po zakończeniu wojny, w dniu 10 listopada 1918 r., i od tego dnia rozpoczyna się rozbrajanie oddziałów niemieckich w Warszawie. Rada Regencyjna powierzyła Piłsudskiemu zwierzchnictwo wojskowe i misję tworzenia rządu. Piłsudski powołał rząd i 26 listopada zarządził demokratyczne wybory powszechne do Sejmu. W wyborach tych po raz pierwszy brały udział kobiety. 20 lutego 1919 r. zostaje powołany na urząd Naczelnika Państwa przez nowo wybrany Sejm. Należy podkreślić, że w momencie odzyskiwania niepodległości Polska nie miała trwałych i bezpiecznych granic. Zagrożeniem była zarówno Rosja, jak i Niemcy. Do pierwszego jednak starcia doszło z Ukraińcami we Lwowie w grudniu 1918 r. W tym samym miesiącu wybuchło powstanie w Wielkopolsce, a w końcu stycznia 1919 r. ujawnił się kolejny konflikt – z Czechami o Śląsk Cieszyński. Ale najsilniejszy przeciwnik nadciągał od wschodu – czerwona, bolszewicka Rosja, z armią znacznie silniejszą od armii polskiej. W marcu 1919 r. polska armia liczyła niespełna 200.000 żołnierzy. W tym właśnie czasie doszło do pierwszej próby sił, a Piłsudski sam kierował akcją odbicia Wilna. Po odzyskaniu Wilna Naczelnik modlił się w sanktuarium Matki Boskiej Ostrobramskiej. Medalik z Jej wizerunkiem towarzyszył mu we wszystkich wojennych wyprawach.

Wojna z bolszewikami trwała przez cały rok 1919. Polskie wojska zajęły obszary od Dźwiny po Dniestr, ale do decydującego starcia dochodzi dopiero wiosną 1920 r. Piłsudski postanawia uprzedzić uderzenie przeciwnika. Zawiera sojusz z Ukraińcami i przygotowuje wspólną ofensywę, za cel której przyjmuje Kijów. Natarcie ruszyło 25.04.1920 r. Piłsudski, już jako pierwszy marszałek Polski, kieruje nim osobiście. Kijów wprawdzie zostaje zajęty, ale już w czerwcu armia konna Budionnego przerwała front polsko-ukraiński, na północy zaś kontrofensywę rozpoczęła niezwykle zdolny strateg gen. Michaił Tuchaczewski. Dowodząc armią doskonale uzbrojoną i przeważającą liczebnie, dotarł w sierpniu aż pod Warszawę. Według planów wojskowych ostatecznego uderzenia na Warszawę miały dokonać równocześnie wszyst-

kie siły wroga, a decyzja o wspólnym uderzeniu z obu frontów: północnego oraz południowego zapadła w Rosji na najwyższym szczeblu (rozkaz Lwa Trockiego rychłego zajęcia Warszawy). Do połączenia obu frontów na szczęście nie doszło. Wojska frontu południowego (w jego ramach m.in. armia konna Budionnego) napotkały na silny opór wojsk polskich wzdłuż linii Bugu, rozbita jazda konna Budionnego wycofała się na wschód, co pozwoliło oddziałom polskim z tego frontu przerzucić do zagrożonej Warszawy. Kolejnym elementem, który przeważał szalę zwycięstwa na stronę polską, stało się zdarzenie na froncie północnym – oddziały polskie przedarły



Towarzystwo im. Józefa Piłsudskiego

się pomiędzy armiami sowieckimi w okolicach Ciechanowa i przerwały łączność między nimi tak skutecznie, że między armiami operującymi w okolicach Mławy a operującymi w rejonie Maków – Pułtusk nie udało się już jej nawiązać. Jak pisze Tuchaczewski, to zdarzenie dało początek katastrofalnemu wynikowi operacji wojennej prowadzonej przez wojska sowieckie. Ramy niniejszego artykułu nie pozwalają na opisanie strategii opracowanej przez Naczelnego Wodza – Piłsudskiego. Skrótnie zatem tylko wspomnę, że w nocy z 5 na 6 sierpnia Piłsudski podjął decyzję o ataku znad Wieprza na skrzydło i tyły wroga, a decydujące uderzenie poprowadził sam. Najistotniejszym elementem planu było skoncentrowanie wojsk polskich w możliwie najsilniej-

szą grupę uderzeniową, już jednak samo dochodzenie do koncentracji było manewrem trudnym i ryzykownym. Zamyśl wszelako powiódł się po myśli Marszałka, a ponieważ gen. Tuchaczewski ostatecznie nie doczekał się wsparcia ze strony frontu południowego, pod nieustającym naporem grupy uderzeniowej dowodzonej przez Piłsudskiego rozpoczął odwrót wszystkimi armiami operującymi na froncie północnym, tj. powyżej Dębłina, wzdłuż linii Garwolin – Modlin – Ciechanów – Mława.

Rozstrzygającą bitwę nazywa się warszawską, chociaż warszawską wcale nie była. Wprawdzie na przedpolach Warszawy toczyły się dramatyczne boje, ale do finalnego uderzenia bolszewików na Warszawę nie doszło – Naczelnny Wódz nie dopuścił, by walki objęły samą Warszawę, wiążąc wojska wroga możliwie najdalej na wschód od linii Wisły i Wieprza. Potem jeszcze raz Piłsudski rozgromił Tuchaczewskiego – w bitwie nad Niemnem. Tak bolszewicy przegrali w Polsce wojnę o rewolucję światową. Nie jest przesadą to stwierdzenie. Jak pisze sam Michaił Tuchaczewski w zbiorze wykładów „Pochód za Wisłę”, to Armia Czerwona niosła ofensywę socjalistyczną dla klas robotniczych Europy Zachodniej, a śmierć dla burżuazji, w pierwszej kolejności – polskiej. Tuchaczewski przekonuje, że na niesioną przez Armię Czerwoną ofensywę bolszewicką czekał proletariatus Niemiec, Włoch, Anglii i Francji. W tym miejscu należy przywołać słowa lorda d'Abernona – szefa misji angielskiej wysłanej do Polski w 1920 r., który w książce „Osiemnasta decydująca bitwa świata” stwierdza, że gdyby nie zwycięstwo w 1920 r., Rosja sowiecka za pomocą bagnetów rozprzestrzeniłaby komunistyczną ideologię i totalitaryzm w całej Europie Środkowej i Zachodniej. Stało się faktem historycznym, że losy Europy zależały od losu Polski, a los Polski pozostawał w ręku Naczelnego Wodza marszałka Piłsudskiego, który przez swoją wolę zwycięstwa i przez swój geniusz wojenny zadecydował o losach wojny.

Słowa historyka brytyjskiego, świadka tamtego czasu, opisują Marszałka jako wielkiego patriotę, człowieka ogromnej odwagi i siły charakteru, geniusza strategii wojennej.

O dalszym okresie działalności politycznej Marszałka napiszemy w kolejnym numerze.

Lidia Kamińska

Pawelwitz, Wendelborn

Historia ogrodowego miasta Pawłowice

Poniżej przedstawiam historię spisaną przez p. Christopha Michla, zam. Pratzeweg k. Hamburga, którego rodzice zamieszkiwali w Pawłowicach przy obecnej ul. Przedwiośnie 21 (w czasach niemieckich Kastanienallee 56), po wojnie od sierpnia 1945 r. dom zamieszkały przez rodzinę Mądrych, a obecnie przez p. Krystynę (z domu Mądry) i Eugeniusza Nobisa. Odwiedził on dwukrotnie Pawłowice – w 1991 r. i po raz drugi w grudniu 2006 r. Powszechną historię przekazał w trakcie pobytu pp. Nobisom.

Położenie i opis pierwotnej wsi

Kto z Wrocławia do Warszawy jedzie koleją, musi przejechać przez Psie Pole, przed wojną samodzielne miasto znajdujące się w powiecie oleśnickim.

Dziś jest ono włączone do Wrocławia.

Z Psiego Pola prowadzi linia kolejowa do miasta powiatowego Trzebnica, która tam się kończy.

Pierwszy przystanek na tej trasie, po ok. 1 km za Psim Polem, to miejscowość Zakrzów (Sakrau).

Po ok. 2 km dojeżdżamy do Pawłowic (Pawelwitz, Wendelborn). Pierwotnie miejscowość ta leżała po prawej stronie od torów kolejowych, jadąc od Zakrzowa, miała 500 mieszkańców. Do tamtej pory nie było stacji i dworca dla tej wsi.

Zostały one dopiero otwarte latem 1930 r.

Wieś Pawłowice i jej historia były przez swoje zamki (pałace) „Dominium”, które należały do barona von Schweinichen (tłum. świnka).

Pozatym było tam kilka małych gospodarstw rolnych, szczególnie ogrodnictw. Wieczorem ładowano produkty rolne do pociągu

i o godz. 3 rano zawożono owoce, warzywa, kwiaty do sklepów do Wrocławia i na targ.

Cegielnia

Po lewej stronie torów, ponieważ była tam dobra ziemia gliniasta, znajdowała się cegielnia, która koleją dostarczała wypaloną cegłę. Kiedy właściciel tej cegielni p. Rusk umarł, przejęły firmę po nim obie jego siostry.

Możliwe, że nie miały ochoty prowadzić jej dalej lub z powodów gospodarczych nie wiedziały, jak nią kierować, więc zamknęły zakład, a następnie go zburzyły. Teraz biegnie tam ogromna glinianka o głębokości 26 m, pełna wody, bo nikt więcej nie zajmował się produkcją cegły.

Na terenie fabryki powinno powstać miasto-ogród

Na obszarze 0,5 km kw. byłego zakładu zaczęto w 1926 r. przygotowywać budowę miasta-ogrodu Pawłowice. Założono w tym celu spółkę Miasto-Ogród Pawłowice (Pawelwitz) z kapitałem 50 tys. marek i zaczęto budować alejki, ulice.

Te 30 tys. mkw. glinianek zaczęto nazywać jeziorem pawłowickim, wokół którego zaczęto sadzić drzewa. Na południowym brzegu założono duże kąpielisko, a na północy park wschodni. Zachodni brzeg pozostawiono pod zabudowę domami.

Plan budowy był tak ustalony, aby obszarów łąk i planowanego miasta-ogrodu nie naruszyć. Ten zielony pas miał służyć jako pługa dla 800 planowanych domów. Zbudowano tam 100 domków jednorodzinnych, kilka w zabudowie bliźniaczej.

Mieszkało w nich pod koniec II wojny światowej ok. 500 osób. W tym czasie Pawłowice liczyły 1058 mieszkańców.

Sklepy, zakłady rzemieślnicze i usługowe

W tym mieście-ogrodzie znajdował się kompleks sklepowy. Były tam sklepy i drogerie, gospodarstwa domowego, sklep z produktami mleczarskimi, sklep obuwniczy z szewcem, poczta, szklarz, sklep mięsny, piekarnia i cukiernia. Wystarczająca liczba sklepów, rzemieślników włącznie ze starą wsią sprawiły, że Pawłowice były niezależne od Wrocławia pod względem zaopatrzeniowym i usługowym.

W 1930 r. założono dom społeczny z małą salą, ogrodem nad jeziorem obok kąpieliska (na północy od jeziora). To sprawiło, że miejsce to było celem wypadów dla mieszkańców Wrocławia.

Woda, prąd, oczyszczalnia

Wodociągi pobierały wodę ze studni głębinowych z głębokości 70 m poprzez zautomatyzowaną stację wodociągów. Stacja ta produkowała ok. 20 m sześć. wody na godzinę podczas gorącego lata 1930 r. Przed każdym domem była zbudowana mała kanalizacja,

żeby odchody usuwać we własnym ogrodzie.

Kanalizacja była poprowadzona do wspólnego kanału i następnie odprowadzona na pola. Planowano potem wykonać oczyszczalnię biologiczną, ale nie zdążono tego zrobić.

Aby odciążyć społeczeństwo, założono spółkę Pawłowicki Zakład Sieci Rurowych, który przejął wodociągi i kanalizację.

Chociaż te urządzenia były słabo wykorzystywane, to 1 m sześć. wody kosztował w 1931 r. tylko 25 fenigów, a opłata za kanalizację kosztowała miesięcznie za dom jednorodzinny 2 marki. Cena za oświetlenie elektryczne była niższa niż we Wrocławiu, chociaż prąd był dostarczony z Wrocławia poprzez transformator, który stał w Pawłowicach. Nikt jednak nie pamięta, ile kosztował prąd. Przewidziane było również przyłącze gazowe, jednak nie doszło one do skutku.

Dworzec kolejowy

W 1930 r. latem otwarto przystanek kolejowy Rzeszy. Koszty budowy mieszkańcy musieli pokryć sami. Kolej żądała, aby wyposażenie dworca było dostarczone przez społeczeństwo. Do dworca ze wszystkich części osiedla prowadziły drogi dla pieszych i jezdnie i można było do niego dojść pieszo w czasie do 10 minut. Również ze starej wsi, z której wcześniej mieszkańcy musieli dochodzić do dworca w Zakrзовie. Była ta nowa stacja dużym ułatwieniem.

Rodzaje domów, finansowanie, architektura

Budowano domy jednorodzinne 2-, 3-, 5-, 6-pokojowe, prawie wszystkie z garażami

i z piwnicami. Większe domy były z płaskim dachem, inne z siodłowym. W 1931 r. ceny kupna wahały się od 28 do 34 marek za 1 mkw. budynku.

Przedsięwzięcia były finansowane i budowane przez Pierwszy Bank Śląski Hipoteczny aż do 60% wartości kosztów budowy.

Rząd do każdego zakupionego domu dodawał tytułem bezzwrotnej pożyczki 1000 marek, tak że z własnym wkładem 2000 do 5000 marek można było kupić dom.

Wszystkie hipoteki były hipotekami amortyzowanymi. Całą organizację budowy domu nadzorował architekt p. Wilhelm Friedrich Reinsch z Wrocławia (BDA).

Stare Pawłowice

Pawłowice, gmina politycznie jednolita, składała się przez budowę miasta-ogrodu na południe od torów z dwóch części. Na północ od torów powstająca wieś z długą wiejską ulicą, przy której stały nowy i stary zamek z parkiem. Obok były posiadłości barona von Schweinichena, zwane „Dominium”.

Przy wiejskiej ulicy były również ratusz (dom gminny), szkoła, przedszkole, gospoda, kowal, masarnia i ogrodnictwo. Stare Pawłowice miały jeszcze kilka innych dróg.

Przy ulicy na północ od „Dominium” znajdowała się leśniczówka. Przy ulicy, która szła na wschód od szkoły (obecnie przedszkole), leżała wieś Anger i duże gospodarstwo zwane Freigut (tłum. wolna posiadłość).

Nowe miasto-ogród

Pawłowice – miasto-ogród było budowane jako osiedle mieszkaniowe.



Ze względu na duże jezioro z małą wyspą pośrodku robiło wrażenie. Ziemię, którą wydobyto z glinianki, obsypywano wokół glinianki. Doprowadziło to do tego, że lustro wody nowego jeziora było wyżej niż okoliczne łąki. Na tej wysokości pozostało. Aleja Dębowa, która biegła od wsi, prowadziła do następnej wsi Glockschutz (tłum. patron dzwonu, chroniący dzwon, obecnie Kłokoczyce), a potem pod kątem 45% biegła od niej aleja Kasztanowa.

Ponieważ nigdy nie ukończono według założeń miasta-ogrodu, zgrupowało się ono wokół alei Kasztanowej. Tam, gdzie aleja Kasztanowa dochodziła do alei Dębowej, było centrum handlowe. Naprzeciw planowano ratusz (u zbiegu ul. Starodębowej i Przedwiośnie), który miał powstać, lecz nigdy nie został zbudowany. Obok znajdował się mały park, do którego później dołączono boisko i plac do gry w tenisa ziemnego. Przedłużeniem alei Kasztanowej była ul. Brzozowa (obecnie Przedwiośnie), gdzie w 1931 r. rozpoczęto budowę kościoła katolickiego z klasztorem karmelitanek.

Aleja Dębowa do końca wojny nie miała znaczenia poza tym, że nowi mieszkańcy szli nią do dworca i do wsi. Planowano jednak, żeby pomiędzy aleją Dębową a torami pobudować domy. Połowy domów nie zaczęto, ale z 800 planowanych 100 zbudowano.

Stare i nowe Pawłowice, części, które pozostały sobie obce

Miasto ogrodowe było samo dla siebie w koncepcji jako nowa miejscowość bez powiązań ze wzrastającą przez lata wsią Pawłowice. W latach 1934-1936 zbudowano małą kaplicę ewangelicką, która leżała na nowym terenie, ale dla wszystkich mieszkańców centralnie. Miała ona posłużyć zjednoczeniu starych i nowych Pawłowic. Tam chrzczono nowych mieszkańców i odbywały się śluby.

Miasto-ogród rozwijało się i dostosowywało do struktur i ludzi starych Pawłowic. Podczas gdy dla nowych mieszkańców centrum handlowe leżało centralnie, to dla starych trochę daleko. Wcześniej sklep kolonialny musiano zamknąć, a pocztę przesunąć. Nowa szkoła była też na nowym obszarze. Nowy kościół planowano dla obu wyznań, tj. rzymskokatolickiego i protestanckiego.

Zintegrowano instytucje, liczba mieszkańców wzrosła do 4000.

Starym mieszkańcom nie było łatwo chodzić na zakupy do nowej części. Ale za to mieli lepsze wodociągi.

Czasami prowadziło to wszystko do spięć. Starsi pawłowiczanie nie musieli wcześniej, gdy szli do sklepów, przechodzić obok nowych domów i willi bogaczy wrocławskich, a teraz musieli.

Duże, połączone Pawłowice nie egzystowały długo. Niecałe 20 lat po rozpoczęciu planowania rozbudowy musiały ludność zarówno starych, jak i nowych Pawłowic być skazana na niewiedzenie się. Dwadzieścia, a właściwie trochę ponad 10 lat trwało, kiedy zupełnie osobne części miejscowości żyły razem. Dla wszystkich tak ostry podział przebiegał wzdłuż torów kolejowych.



Wspólne dorastanie potrzebowało co najmniej jednego pokolenia, a więc ok. 30 lat. Typowym przykładem był Fritz Heese, ur. 1930 r., który od 1933 roku żył ze swoimi rodzicami w Pawłowicach, opowiadał: gdy rodzice mnie prosili, abym poszedł wysłać list na pocztę (wtedy jeszcze w starej części), potrzebowałem 4 lub 5 kolegów, żeby pójść razem. Iść samemu było niebezpiecznie. Chłopcy ze starych i nowych Pawłowic walczyli przeciwko sobie.

Jako „jednolita” gmina duże Pawłowice chciały zrobić dobre wrażenie: stary – nowy zamek, park, klasztor, kościół, centrum handlowe do początku wojny miały być gotowe.

No i szóste co do wielkości miasto niemieckie było osiągalne z Pawłowic koleją i autobusem w 15 minut. Jednak, wspólne rzeczy, z których można było być dumnym, łączyły serca mieszkańców nie tak szybko. Wzajemne zaufanie musiało rosnąć i na to brakowało czasu.

Szkoły, ponieważ nie było jeszcze nowej, leżały w starej części miejscowości. Kto jako dziecko dorastał w mieście ogrodowym, chodził do przedszkola, szkoły podstawowej w części rozwijającej się. Tam mógł z dziećmi ze wsi razem dorastać. Ale czy było to łatwe ze względów socjalnych? Prawdopodobnie nowi mieszkańcy trzymali swoje małe dzieci z daleka od tej szkoły, ponieważ ich dzieci (rodzice zorientowani na Wrocław) mówiły poprawnym językiem niemieckim, a nie wiejskim saksońskim.

Ze szkoły podstawowej 4-letniej można było korzystać, ale po 4 latach nie mogły dzieci z miasta ogrodowego chodzić do wiejskiej szkoły.

Wszyscy rodzice musieli wysłać swoje pociechy do Wrocławia do gimnazjum czy do szkoły średniej.

Był wspólny burmistrz, ale określany nowym mieszkańcem i mieszkał w mieście

ogrodowym. Całe szczęście, że w tej sytuacji panowała doktryna państwa. Burmistrz był wybierany i musiał zostać zaakceptowany.

Może porządek ten ułatwił wykonywanie zadania burmistrzowi. Również różne stowarzyszenia przyczyniły się do tego, że obie części rozwijały się razem, np.: Hitlerjugend, NSDAP, policja pożarowa.

W 1939 r. wystąpiły nowe problemy w społeczeństwie. O wspólnym rozwoju obu części miasta nie było mowy.

Młodzi mężczyźni byli wciągani do służby, dużo dziewcząt musiało też pracować. Musiano również zakwaterować żołnierzy. Zachodnie duże miasta niemieckie były zagrożone atakami bombowymi i ich mieszkańcy zostali rozlokowani m.in. na terenie Pawłowic.

Oficjalnie w tych czasach nie było Pawłowic. Wskutek germanizacji niemieckiego wschodu wiele słowiańsko brzmiących nazw miejscowości otrzymało nazwy niemieckie.

W 1938 r. nazwę Pawelwitz zmieniono na Wendelborn, co znaczyło „studnia wandali”. Tak było na mapach do 1945 r. Teraz znowu Pawłowice mają starą nazwę, ale nie należą do powiatu trzebnickiego, lecz do wrocławskiego. Teraz mieszka tu ludność, która nie zna napięć między starymi a nowymi Pawłowicami, ponieważ prawie wszyscy byli przesiedleni z polskiego wschodu i musieli razem tworzyć nową wspólnotę życiową.

Moja rodzina, która dopiero w 1939 r. przybyła do Wendelborn, miała wrażenie, że dla nich było tylko miasto ogrodowe i że zawsze nazywało się Wendelborn.

Ja sam nie urodziłem się w Pawłowicach tylko koło Hamburga w 1947 r.



W Pawłowicach byłem dwa razy tam, gdzie moi dziadkowie, moja Mama i mój wujek Gerhard sprowadzili się na al. Kasztanową 56. Zainteresowanie domem moich dziadków było z mojej strony bardzo duże. 12 maja 1991 r. po raz pierwszy byłem w Pawłowicach przed domem moich dziadków i mojej Mamy. Była ze mną moja Mama, bo chciała mi pokazać stary domek w Pawłowicach. Mama nie widziała domku od 1945 r.

Christoph Michla
opracowanie: Zdzisław Wnęk

Nasz los w naszych rękach...

Piskorzyna jest średniej wielkości, odległą od Wrocławia o kilkadziesiąt kilometrów wsią, znajdującą się wewnątrz trójkąta Żmigród – Rawicz – Wołów. Wszędzie stąd daleko, choć nie da się o Piskorzynie powiedzieć: odludzie. Kiedyś powiedziałoby się o niej: wieś zagubiona „w terenie”. Co to dziś znaczy?

Tu, w Piskorzynie, kobiety czekają na kolejny odcinek „M jak miłość”, tak jak wszędzie gdzie indziej, rozmawiamy o Kaczyńskich, Iraku, tąpnięciach na Śląsku, autokarowej katastrofie, szkolnych mundurkach czy remoncie drogi. Ludzie wyjeżdżają pracować do Niemiec lub Anglii, sprzedają i kupują samochody, wymieniają komórki, porównują szybkość internetowych łącz. Nie wiem, czy mieszkam w wiosce globalnej, ale wiem, że nie mieszkam na odludziu.

Jaka jest ta nasza wieś? Czy mieszkamy w Bullerbyn? Wolne żarty. Jesteśmy zawistni, wredni, samolubni, nieżyczliwi, podzieleni na wrogie frakcje lub sobie po prostu obojętni.

Aż tu nagle, w tej paskudnej, parszywej wsi rozkwita jakiś dziwny kwiat, jakieś złote słoneczko się rozświeca.

Na oczach wszystkich, za dnia i naprawdę, powstaje duży plac zabaw dla dzieci, miejsce rozrywek dla młodzieży i nawet – okazjonalnie – dla dorosłych. Powstaje on na miejscu do niedawna zarosłym chaszczami, w ciężkiej, gliniastej ziemi. Powstaje... nie sam z siebie oczywiście. Kto jest jego budowniczym? Ci zawistni, wredni, samolubni, nieżyczliwi, podzieleni na wrogie frakcje lub sobie po prostu obojętni piskorzanie.

W miejscu, w którym – jak wielu twierdziło – nic udać się nie mogło, wszystko, każda incjatywa skazana miała być na ugrzęźnięcie w błocie, wpadnięcie w otchłań marazmu nieprzezwyciężonych trudności, niekorzystnych okoliczności. W miejscu naznaczonym złą wolą, głupotą i lenistwem ludzi, miejscu, któremu pisane było wessanie w jakąś dziwną, choć dobrze nam znaną „naszo-polską” czarną dziurę ogólnej niemożności. O ludziach mówimy czasami, że są trudni. Piskorzyna jest trudną wsią – popegieerowską, i to do kwadratu, bowiem za komuny były d w a PGR-y. Jak na wieś liczącą około siedemdziesięciu domów i trzystu mieszkańców, to dużo. Niech kto chce, tłumaczy młodzieży, co to oznacza. Jak bardzo struktura PGR-ów demoralizowała ludzi. Były i dobre tego strony. Są tacy, którzy za PGR-em tęsknią, bo dawał wsi jakąś strukturę, ludziom – było, nie było – pracę, poczucie bezpieczeństwa. Chociaż, tak na marginesie, mam wrażenie, że za PGR-em najbardziej tęsknią ci, którzy w nim nie pracowali. Może jednak się mylę... W Piskorzynie mamy też byłych i obecnych rolników – przynajmniej relatywnie – bogatych, byłych i aktualnych rolników mniej bogatych, bezrobotnych prawdziwych, bezrobotnych z wyboru, „wahadłowców” – jeżdżących za granicę do pracy i powracających, tych, którzy pracują w okolicy (na przykład w Wińsku), i dalej (na przykład we Wrocławiu), „ciała

obce” przybyłe z innych, czasami odległych wsi lub miast. Do tego dochodzą różnice pokoleniowe (pośród najstarszych nie brakuje powojennych repatriantów), zamożności, wykształcenia.

Trudni ludzie... trudna wieś. Jak wytłumaczyć wobec tego to, co się stało? W jaki sposób doszło do tej dziwnej przemiany, której owoc już dojrzał, jest, materialnie istnieje?

Oczywiście potrzebny był Wałęsa. Ten, który przeskoczył przez płot, wejdzie na czołg lub skrzynkę, podniesie ramię, zabierze głos. Pierwszy zakasa rękawy. U nas, w Piskorzynie, rolę Wałęsy spełniła kobieta. I nie musiała zresztą niczego przeskakiwać ani wdrapywać się na cokoły czy postumenty.

Najwspanialszym „skokiem” tej pani była wiara, że się da, że nie musi to być niewyobrażalnie trudne czy nieosiągalne. Co nie oznacza, że ma być łatwo i że łatwo było, choć myślę, iż często okazuje się, że jest łatwiej, niż myślało się, że będzie.

Rozmawiam z panią Agnieszką Bartoszek. Ona właśnie jest tą osobą, dzięki której cała ta machina ruszyła.

– Od jak dawna jest Pani radną?

– W listopadzie mija właśnie rok. Sołtysową jestem o kilka miesięcy dłużej.

– Czy pełniła Pani wcześniej inne funkcje publiczne?

– Tak, przez cztery lata zasiadałam w radzie sołectkiej.

– Radną trzeba się urodzić, czy też można się nią stać?

– (chwila zastanowienia, uśmiech) Myślę, że radną można się stać. Najważniejsze to lubić rozmawiać z ludźmi. Kto rozmawiać lubi, ten też rozmawiać umie. Ważne, by rozmawiać o wszystkim, tak o sprawach istotnych, jak i błahych, błahych często tylko z pozoru.

– Chciałbym się dowiedzieć, jak doszło do tego, że nad Piskorzyną rozbłysło słońce?

– Jako radna czuję się w obowiązku trzymać rękę na pulsie, wiedzieć, co w trawie piszczy. Zaczęło się to w dniu, w którym dowiedziałam się o powiatowym konkursie „Sami sobie”. W ramach tego konkursu, przeprowadzanego pod patronatem holenderskiej Fundacji KNHM i gminy Wińsko, zaproponowano bardziej szczegółowe zadanie: „Zagospodarowanie działki na plac zabaw i rekreację”. Organizatorzy dysponowali określoną sumą pieniędzy, które przeznaczone były dla najlepszych z zaproponowanych projektów. Wśród tych projektów znalazł się i nasz.

– Autorzy zwycięskich projektów otrzymywali pieniądze na ich realizację, prawda?

– Tak, otrzymaliśmy 1000 euro (500 euro od Fundacji oraz 500 od gminy Wińsko).

– Tysiąc euro... dużo to czy mało?

– Wszystko zależy od tego, jakimi kategoriami myślimy. Jeśli myślimy „realizacja projektu użyteczności publicznej”, „kosztorys” – wykonawcy, podwykonawcy (śmiech), „koszt zakupu sprzętu”... Tak, wtedy suma ta nie byłaby sumą, powiedzmy, znaczącą. Ale dla nas tutaj,

w Piskorzynie, dla ludzi, którzy gdy trzeba, potrafią – jak się okazuje – zakasać rękawy, nie oglądając się na innych, to dużo. Lub może inaczej – pieniędzy tych po prostu nam wystarczyło. Wszyscy pracowaliśmy nieodpłatnie, za darmo.

– Jak oceniony został rezultat?

– Bardzo dobrze. Znaleźliśmy się w pierwszej trójce! Każdy z tej trójki otrzymywał od Fundacji KNHM dodatkowe 500 euro tytułem nagrody. Z całego powiatu wpłynęło około 80 wniosków. Po pierwszej, wstępnej selekcji pozostało 60 projektów, po drugiej – 24. Spośród tych realizowanych już projektów wybrano trzy najbardziej udane realizacje. Właśnie wśród nich się znaleźliśmy. Holender, przewodniczący komisji kontrolującej jakość wykonanej pracy, był bardzo zadowolony. Łamiąc sobie język, ciągle powtarzał: „Brawo, pani sołtys Busz!”.

– ...?

– Na początku ludzie nie wierzyli, że to się uda. Ile to się nasłuchiłam, że to wszystko bez sensu, że to się i tak nie uda, że „w tym błocie, glinie plac zabaw?! W tych krzakach?! Tu się nie da nic zrobić, przecież to istny busz!”. Potem to słowo „busz” gdzieś odbiło się echem w jakimś sprawozdaniu i rykoszetem trafiło do Holendra, który skojarzył z brzmieniem mojego nazwiska (śmiech). Skoro o Holendrze mowa, jeszcze jedna anegdota. Holender wzruszył się bardzo na widok starej jabłoni, szarej renety, która przypominała mu jabłonki, które pamiętał z dzieciństwa. Docenił to, że w szale karczowania drzewo to oszczędziliśmy.

– Budowa placu zabaw zakończyła się więc pełnym sukcesem. Jak ten plac wygląda?

– Sprzętu jest tyle, na ile wystarczyło pieniędzy. Mamy też zjeżdżalnię, huśtawki, drabinkę, drążki, małe boisko z bramkami, miejsce na ognisko, mamy nawet scenę! Ale na tym nie koniec: będzie jeszcze boisko do siatkówki, ogród skalny i pole szachowe, które – gdy trzeba będzie – zamienimy na platformę do tańca.

– Wróćmy do naszych niedowiarków. Co oni na to wszystko?

– Zamilkli. Niektórych widziałam potem na festynie.

– Festynie?

– Tak. Zorganizowaliśmy festyn – huczną inaugurację. Zaangażowanie ludzi przeszło wszelkie wyobrażenia. Spotkałam się z wielką ofiarnością, życzliwością, entuzjazmem i zapałem. Też z bezinteresownością – pracowali nie tylko rodzice dzieci, dla których przede wszystkim plac zabaw jest przeznaczony. Pan z sąsiedniej cegielni za pomocą ogromnej maszyny na gąsienicach „w czynnie społecznym” wyrównał nam teren, przedsiębiorca z Wińska pożyczył stoły, władze gminne dorzuciły coś niecoś do wspólnego portfela. Jednak najbardziej chyba zaskakująca, wzruszająca wręcz, była postawa zwykłych mieszkańców. Spontaniczna incjatywa sprzedaży niematerialnych „cegiełek” o wartości 5 zł, realnie zostawianych w naszym większym sklepie, przyniosła znakomite rezultaty – zebraliśmy ponad 400 zł! Szybko też zebraliśmy pokaźną liczbę fantów, różnych bardzo (znalazł się wśród nich nawet żywy królik!), dzięki czemu loteria fantowa była jedną z bar-

dzień udanych atrakcji – wygrywały wszystkie losy! Praca nad realizacją placu zabaw połączona została z intensywnym przygotowywaniem festynu. Zaangażowanie ludzi dotyczyło tak jednego, jak i drugiego. Wspaniale zachowała się młodzież. (Skoro o niej mowa – naszym kolejnym celem jest remont i wyposażenie świetlicy, też organizacja w niej zajęć. Z remontem dachu sami sobie nie poradzimy – będą potrzebne pieniądze z zewnątrz. To natomiast, co możemy zrobić samodzielnie, robimy już teraz).

– **Wszystko to takie piękne, że aż trudno uwierzyć.**

– Chętnie bym opowiedziała o jakimś zgrzynie... niestety, festyn udał się wspaniale. Zaczęło się od uroczystego przecięcia wstęgi. Jako że była to jednocześnie inauguracja placu zabaw, dokonałam tego wspólnie z wójtem. No, a potem zabawa. Była trampolina, dmuchany zamek, basen z piłeczkami (18-metrowa zjeżdżalnia nam się nie zmieściła... o, proszę, jednak coś się znalazło...), gry, konkursy, turnieje, loteria fantowa, o której już mówiłam. Było też dużo dobrego jedzenia, w znacznej części darmowego. Sami na patelniach elektrycznych smażyliśmy placki ziemniaczane (potrzeba było kilkadziesiąt przedłużaczy, by móc skorzystać z prądu w domu najbliższego sąsiada), smażyliśmy frytki, nie zabrakło chleba ze smalcem, patisonami i przez nas samych specjalnie na tę okazję kiszonymi ogórkami, sukcesem cieszyła się grochówka. Były też domowe ciasta, w tym rewelacyjna kresowa „pałyczka” z makiem, pan z sąsiedniej wsi przyszedł z miodem ze swoich uli... Potem tańce oczywiście. Zabawa trwała do czwartej nad ranem, na festyn przyszło około dwustu osób.

– **Coś czuję, że na tym jednym festynie się to nie zakończy.**

– Oj, nie. Marzy mi się, by następny festyn oprócz zwyczajowych zabaw zaproponował uczestnikom rozrywkę innego typu. Nie wiem, czy już teraz powinnam o tym mówić, ale chciałabym, by na nasze najbliższe spotkanie zaprosić kresowiaków. W naszej wsi i okolicy żyje jeszcze wiele osób, które tamte odległe czasy pamiętają. Zapowiadają się ciekawe spotkania. Kto chętny, niech przyjdzie, zapraszam!

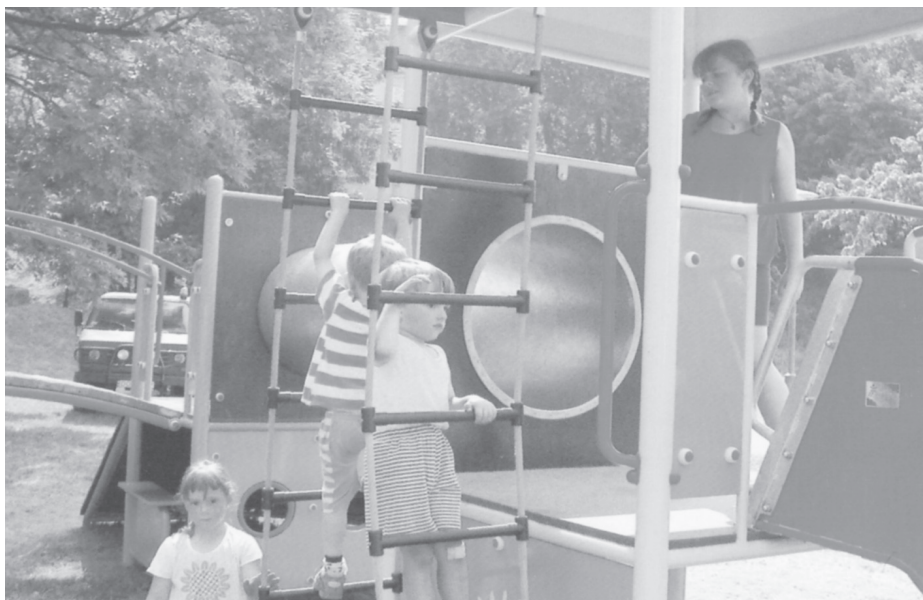
– **Dziękuję za rozmowę.**

Skończyłem rozmawiać z panią Agnieszką. Zastanawiam się, zaraz, zaraz... my zawistni, wredni, samolubni, nieżyczliwi, podzieleni na wrogie frakcje lub sobie po prostu obojętni piskorzanie... jacy to my naprawdę jesteśmy?

Krzysztof Chara

Niedawno rozmawialiśmy z Jurkiem Szachnowskim na temat budowy miejsca zabaw dla dzieci na naszym osiedlu. Byliśmy zaskoczeni, gdy pokazał nam katalog z elementami takiego placu zabaw. Element programu wyborczego Rady Osiedla dotyczący budowy placu zabaw nie został dotychczas zrealizowany. Mieszkańcy Pawłowic sami już myślą o organizacji takiego miejsca dla dzieci. Naszym zdaniem, jeżeli poprzemy ideę budowy takiego placu zabaw, wówczas on powstanie. Zapraszamy osoby zainteresowane o kontakt z Jurkiem Szachnowskim, tel. 600-366-496.

redakcja



Mikołajki 2007

Szanowni Państwo, zwracamy się z prośbą

W imieniu nieformalnego Partnerstwa działającego na terenie Osiedla Pawłowice, w skład którego wchodzi: Miejski Ośrodek Pomocy Społecznej, Rada Osiedla, Szkoła Podstawowa nr 39, Świetlica Środowiskowa i parafia Najświętszego Serca Pana Jezusa, informujemy, że planujemy zorganizować zabawę mikołajową dla dzieci z tego osiedla. Przewidujemy przygotowanie dwustu paczek dla dzieci w wieku szkolnym i przedszkolnym. Ponadto planujemy zorganizować liczne konkursy i zabawy przy zespole muzycznym.

Impreza osiedlowa jest wspólnym przedsięwzięciem organizacji, instytucji, pracodawców oraz osób działających od kilkunastu lat na rzecz poprawy jakości życia na wskazanym osiedlu. Jest to również forma zaproszenia Państwa do udziału w naszym projekcie.

Zaplanowany termin imprezy to 8 grudnia 2007 r. o godz. 15.00 w sali gimnastycznej Szkoły Podstawowej nr 39.

Państwa udział wzmocni to przedsięwzięcie. Nieoceniony będzie wkład finansowy i rzeczowy, o jaki się zwracamy.

W imieniu organizatorów dziękujemy za okazane zrozumienie i zapraszamy do udziału

w imprezie. Zobowiązujemy się do pisemnych rekomendacji.

Kontakt z p. Ewą Zyków, pracownikiem socjalnym MOPS. Wpłaty na zabawę mikołajkową można dokonać na konto: Parafia NSPJ, BISE IV o/Wrocław, 17 1370 1330 0000 1706 4202 3101 z dopiskiem „Święty Mikołaj”. Za wsparcie tej inicjatywy gorąco dziękujemy.

Szanowni Państwo,

W imieniu nieformalnego Partnerstwa działającego na terenie Osiedla Pawłowice, w skład którego wchodzi: Miejski Ośrodek Pomocy Społecznej, Rada Osiedla, Szkoła Podstawowa nr 39, Świetlica Środowiskowa i Parafia Najświętszego Serca Pana Jezusa informujemy, że planujemy zorganizować „Zabawę Mikołajową” dla dzieci z tego Osiedla. Przewidujemy przygotowanie dwustu paczek dla dzieci w wieku szkolnym i przedszkolnym. Ponadto planujemy zorganizować liczne konkursy i zabawy przy zespole muzycznym.

Impreza Osiedlowa jest wspólnym przedsięwzięciem organizacji, instytucji, pracodawców oraz osób działających od kilkunastu lat na rzecz poprawy jakości życia na wskazanym Osiedlu. Jest to również forma zaproszenia Państwa do udziału w naszym projekcie.

Zaplanowany termin imprezy to 8 grudnia 2007r. o godz. 15.00 w Sali gimnastycznej Szkoły Podstawowej nr 39.

Państwa udział wzmocni to przedsięwzięcie. Nieoceniony będzie wkład finansowy i rzeczowy o jaki się zwracamy.

W imieniu organizatorów dziękujemy za okazane zrozumienie i zapraszamy do udziału w imprezie.

Zobowiązujemy się do pisemnych rekomendacji.

WIELKI OŚRODEK POMOCY SPOŁECZNEJ
Zespół Terenowej Pomocy Społecznej nr 10
ul. Główna 26/30
50-525 Wrocław

SZKOŁA PODSTAWOWA NR 39
ul. Główna 26/30 Wrocław
50-525 Wrocław
tel. (71) 345 53 49
e-mail: s39@wp.poczta.onet.pl

Ks. Dr Michał Maciej
Proboszcz Parafii
Najświętszego Serca Pana Jezusa
ul. Główna 11
50-525 Wrocław
tel. (71) 345 53 49

KIEROWNIK
Alma Kucharska

PROBOSZCZ
Ks. Dr Michał Maciej

Pracownik socjalny Ewa Zyków
tel. Kontaktowy 071/345-75-39, 0606/296/019

USŁUGI WETERYNARYJNE WYJAZDOWE CAŁODOBOWE



tel. 505-691-139,
502-463-994

MB PROBET Sp. z o.o.

Materiały budowlane

doradztwo techniczne, wyceny
projektów, sprzedaż materiałów
budowlanych

ul. Odolanowska 2
51-219 Wrocław

korespondencja

telefony

tel. (071) 330 43 62

(071) 330 43 46

(071) 345 53 49

(071) 345 51 39

e-mail

mprobet@mprobet.com.pl

więźba dachowa, tarcica
budowlana, cegła, cement,
wapno, kostka brukowa, kleje,
fugi, płyty gipsowe, farby, la-
kiery, pędzle, wálki malarskie,
panele, drzwi, okna, ceramika
sanitarna, rury kształtki

www.mprobet.com.pl

„Pieśń ujdzie cało...”

*„Płomień rozgryzie malowane dzieje,
Skarby mieczowi spustoszą złodzieje,
Pieśń ujdzie cało...”*

Adam Mickiewicz

Pieśń uszła cało, przetrwała w pamięci pani, która uczyła dzieci w pawłowickiej szkole. Pani Szuberowa. Z czasem niewiele osób wiedziało, że miała na imię Antonina. W końcowych latach życia wierni przyjaciele odwiedzali w dniu 13 czerwca Szanowną Solenizantkę.

Państwo Szuberowie przybyli do Pawłowic pod koniec sierpnia 1946 r. Na stacji powitał ich pan Jan Szarek – pierwszy kierownik miejscowej szkoły. Widząc niepewną minę pani Antoniny, powiedział: „Przyjechaliśmy tu nie żeby zatrzymać się na chwilę, ale by budować, odbudowywać i innych pobudzić do czynu”.

Pani Antonina Szuberowa z czasem staje się historią i legendą szkoły w Pawłowicach. Już w pierwszym roku nauki 1946/47 organizuje chór szkolny. Praca z młodzieżą, chętnie uczęszczającą na zajęcia, szybko daje owoce. Chór uświetnia uroczystości szkolne już w 1947 r., występując dla całej gromady. Pani Szuberowa odnosiła wiele sukcesów w dziedzinie umuzykalniania dzieci. Ale to materiał na oddzielny artykuł.

Obecnie chciałabym zwrócić uwagę na inny aspekt jej postawy duchowej i twórczości artystycznej. Pani Szuberowa była wielką i szczerą patriotką. Trzeba było widzieć, z jakim przejęciem mówiła o Polsce. Uczyła patriotyzmu nie tylko swoich uczniów, ale także i nas – nauczycieli. Wiadomo, że w PRL-u obchody Święta Niepodległości były zabronione. Nie wiem, jak to się działo, ale przemycaliśmy jakoś te programy, nie narzucając sobie autocenzury. Pamiętam rok 1968 – 50. rocznica odzyskania niepodległości, obchodzona w ówczesnym Domu Kultury z prawdziwą sceną. Widownia pełna dzieci i dorosłych mieszkańców Pawłowic. Podobnie było w r. 1973, 1978 – 60. rocznica. Program wtedy był prezentowany w kilku miejscach, także poza szkołą.

A potem już co rok czciliśmy niepodległość.

„Patrz, Kościuszeko, na nas z nieba...”;

„Bartoszu, Bartoszu, oj, nie traćwa nadziei,
oj, nie traćwa nadziei.

Bóg pobłogosławi, Ojczyznę nam zbawi
Bóg pobłogosławi, Ojczyznę nam zbawi”;
„Walecznych tysięcy opuszcza Warszawę”.

To pani Szuberowa w obudzonych do życia pięknych i wzruszających pieśniach przywracała nam blask dawnej Polski. My „dzieci komuny” nie mogliśmy znać tych pieśni. Jeśli ja we własnoręcznie zapisanym szkolnym śpiewniku z klasy VII po latach znalazłam m.in. słowa hymnu Związku Radzieckiego („Niezlomny jest Związek Republik Swobodnych”) albo „Szaraka strana maja radnaja”, ale nie znalazłam tam słów hymnu polskiego, to o czymś świadczy. Były lata, że często przeglądałam ten śpiewnik i coraz bardziej zastanawiałam się

i dochodziłam do zatrważających wniosków. Coś w sercu się burzyło. Pojawiały się niespokojne myśli. Ale była pani Szuberowa ze swymi skrzypcami i pieśniami.

A potem nagle pojawiło się Światło – wybór Polaka – kardynała Karola Wojtyły... na Papieża Jana Pawła II i Jego pamiętne słowa:

„Niech zstąpi Duch Twój! I odnowi oblicze Ziemi. Tej Ziemi”.

A potem powstanie „Solidarności”. Emocjonalnie przeżywaliśmy te wydarzenia, a pani Szuberowa w szczególności, i wtedy bez lęku mogliśmy śpiewać:



Antonina Szuber na uroczystości 50-lecia SP nr 39 w Pawłowicach w 1996 r.

„Oto dziś dzień krwi i chwały.

Oby dniem wskreszenia był”.

Stan wojenny. Cios w samo serce. Ból niemal fizyczny. Ale już nikt z nas nie powstrzymywał się od obchodzenia Święta Niepodległości, bo:

„Póki w narodzie myśl swobody żyje,
Wola i godność, i męstwo człowiecze,
Póki sam w ręce nie odda się czyje
I praw się swoich do życia nie zrzecze,
To ani łańcuch, co mu ściska szyję,
Ani utkwione w jego piersiach miecze,
Ani go przemoc żadna nie zabije –
I w noc dziejowej hańby nie zawlecze.
Zginąć on może z własnej tylko ręki:
Gdy nim owładnie rozpacz senna, głucha...”.

Adam Asnyk

I to, że dzisiaj dzieci z Koła Żywego Słowa śpiewają:

„Nie noszą lampasów, lecz szary ich strój...”;
„Na stos rzuciliśmy nasz życia los, na stos, na stos...”;

„Hej, hej, komendancie, miły wodzu mój...”;

„Raduje się serce, raduje się dusza,
Gdy pierwsza kadrowa na wojenkę rusza...”

to niemała zasługa pani Szuberowej.

„Pieśń ujdzie cało...”.

Dzieci po występie 11 listopada w czasie akademii osiedlowej zostały przez pawłowicką publiczność nagrodzone gromkimi brawami.

A następnego dnia doszła do mnie wieść, że w czasie programu ktoś zapłakał. Dla tej jednej

lży chociażby warto przygotowywać programy patriotyczne. Warto wychowywać dzieci i młodzież w duchu umiłowania Ojczyzny.

Barbara Inglot

Do uczczenia Święta Niepodległości włączyło się również Koło Żywego Słowa, które 11 listopada w czasie osiedlowej akademii zaprezentowało program składający się z dwóch części, a mianowicie: cz. 1. „Niepodległość”, a w niej utwory m.in. Wincentego Pola, Seweryna Goszczyńskiego, Czesława Miłosa oraz pieśni patriotyczne.; cz. 2. „Tryptyk Rzymski” Jana Pawła II, cz. 1. Strumień.

Występujące dzieci zostały nagrodzone gromkimi brawami.

Pawłowickie przepisy

Kolejne przepisy na pyszności od mieszkanki naszego osiedla. Warto więc zobaczyć, jak przygotować wspaniałe smakołyki oparte o przeróżne składniki. Dziś dostaniemy przepisy na każdą okazję, wypróbowane i polecane...

Pierogi łagockie

Farsz (ugotować i ostudzić):
30 dag kaszy gryczanej

25 dag twarogu
1 cebula
4-5 szt. suszonych grzybów
1 łyżka tłuszczu
1 jajko surowe, majeranek

Na wywarze grzybowym gotujemy kaszę, po ostudzeniu dodajemy pokrojone drobno grzyby, ser i usmażoną cebulę, pieprz, sól, przyprawę i jajko. Wszystko mieszamy i farsz do pierogów gotowy.

Pierogi z tym farszem są pyszne, radzę spróbować.

Flaczki jarskie

2-3 marchewki
2 pietruszki
kawałek selera

Wszystkie jarzyny pokroić w makaronik, włożyć do garnka razem z porcją rosółową. Wlać ok. 2 litrów wody i gotować.

1 cebula
1 łyżka smalcu

Cebulę zeszklić na smalcu i włożyć do garnka razem z przyprawą (magi).

Gdy wszystkie jarzyny są miękkie, dodać przyprawy: sól, pieprz, paprykę ostrą, majeranek (dużo), liść laurowy i ziele angielskie. Usmążyć naleśniki 1 szt. dla każdej osoby. Naleśniki pokroić w makaron. Na każdym talerzu włożyć pokrojony naleśnik i zalać zupą.

Zupa ta ma bardzo specyficzny smak, a całego uroku daniu dodaje właśnie naleśnik zamiast makaronu. Zupa ta jest wyśmienita.

Potrąwka meksykańska

30 dag białej fasoli
4 szt. cebuli
3-4 szt. goździków
40 dag mielonego mięsa
6 szt. pomidorów lub przecier
2 szt. papryki
2 duże ząbki czosnku
3 łyżki oleju

Fasolę gotować z goździkami i cebulą do miękkości. 3 cebule i czosnek drobno posiekać i usmażyć na oleju, do tego dodać mięso i smażyć, mieszając, aż zbrązowieje. Wsypać przyprawy – sól, pieprz, chili, cukier, paprykę oraz pokrojone pomidory lub przecier pomidorowy. Przykryć patelnię pokrywką i dusić ok. 30 minut. Po tym czasie przełożyć wszystko do fasoli i jeszcze razem dusić ok. 30 min. Podawać z bagietką i zieloną sałatą. Potrawę tę można zamrozić.

Pyszne kolduny litewskie

Farsz:
30 dag przerośniętej wołowiny
30 dag wieprzowiny od szynki
20 dag cielęciny lub piersi drobiowych
1 jajko
2 szt. cebuli (spore)
3-4 ząbki czosnku
majeranek, tymianek, pieprz ziołowy, sól

Wszystkie mięsa mielimy razem z cebulą i czosnkiem. Do mięsa dodajemy jajko, sól i przyprawy, wszystko bardzo dokładnie wyrabiamy, od czasu do czasu podlewamy odrobiną wody. Takim farszem napelnamy małe krążki ciasta i gotujemy w osolonej wodzie. Kolduny podaje się z rosółem lub barszczem. Można też zamrozić.

Salatka z kurczakiem

pół ugotowanego kurczaka

półtorej szklanki ugotowanego ryżu
duże jabłko
3/4 szklanki ugotowanego zielonego groszku
duży ogórek
2 łyżki pietruszki zielonej
2 łyżki gęstej śmietany
2 łyżki majonezu
sok z połowy cytryny
sól, cukier, imbir i inne przyprawy ziołowe

Mięso z kurczaka drobno pokroić i wymieszać ze wszystkimi składnikami. Majonez wymieszać ze śmietaną i połączyć sałatkę.

Buraczki z miodem

1 kg buraczków
2 łyżki masła
2 łyżki miodu
1 łyżka soku z cytryny
1 łyżeczka chrzanu (utarty)
szczypta cynamonu, sól

Ugotowane buraczki pokroić drobno w słupki. Na patelni stopić masło z miodem, włożyć buraki, skropić cytryną, oprószyć cynamonem i solą. Przesmażyć, mieszając. Podawać do pieczenia.

Ryba duszona w porach

60 dag filetów z ryby
2 łyżki soku z cytryny
2 dorodne pory
2 ząbki czosnku
pół szkl. śmietany
1/3 szkl. wina
łyżeczka przypraw do ryb
olej, pieprz, sól

Rybę skropić sokiem z cytryny i odstawić na 30 min. Białe części pora pokroić w pierścienie, włożyć do rondla i dusić z 2 łyżkami oleju i czosnkiem. Po kilku minutach włożyć pokrojoną i oprószoną przyprawami rybę. Powoli podlać winem, zagotować. Następnie wlać śmietanę i dusić 15 min. Podawać z bułką lub ziemniakami i surówką.

Grzyby pieczone w bekonie

25 dag pieczarek, boczników
15 dag bekonu pokrojonego na cienkie plasterki, pół pęczka natki pietruszki lub kilka gałązek bazylii
2 duże ząbki czosnku
2 łyżki oliwy, sól, pieprz

Obrany i zmiążdżony czosnek oraz drobno pokrojone listki pietruszki lub bazylii wymieszać z oliwą, doprawić solą i pieprzem. Pastą tą posmarować grzyby. Następnie każdą sztukę zawinąć w kawałek bekonu, spiąć wykałaczką i ułożyć na rozgrzanym grillu lub ruszcie piekarnika. Opiekać ok. 15 min, w tym czasie przekręcić 2-3 razy. Podawać gorące z pieczywem lub ziemniakami i surówką.

Zupa fasolowa

25 dag białej fasoli ugotować. Pęczek włoszczyzny pokroić, włożyć do garnka z fasolą

i stopionym boczkiem z cebulą, wlać 2 szklanki bulionu z kostki, 2 goździki, szczypta cząbrku, tymianku, sól, pieprz. Wszystko razem gotować do miękkości. Ugotowaną zupę podprawiamy zasmażką z masła i mąki.

Steki wieprzowe

4 plastry schabu
2 jajka
2 łyżki masła
20 dag sera edamskiego
sól, pieprz, gałka muszkatołowa, natka pietruszki, pomidor

Mięso rozbić, oprószyć solą, pieprzem i mąką, smażyć na rumiano z obu stron. Wyjąć z patelni. Utarty na tarce ser wrzucamy do rondelka na rozgrzane masło, dodajemy łyżkę mleka lub śmietanki, sól, pieprz, gałkę muszkatołową. Zdejmujemy z ognia i ucieramy ser z dwoma żółtkami. Białka ubite na pianę dodajemy do sera. Steki układamy na patelni, przykrywamy czapką z serowego puree. Przykrywamy patelnię i przez kilka minut podgrzewamy. Kotlety przybieramy częściami pomidora i pietruszką. Te wyśmienite kotlety podajemy z ziemniakami i surówką z kapusty.

Surówka z kapusty

Pół małej główki kapusty, jedna czerwona papryka, mała puszka ananasa, sól, pieprz, cukier, 2 łyżki oleju, kilka kropel octu.

Kapustę szatkujemy na cieniutkie paseczki, ananasa kroimy na małe kawałeczki. Z oliwy, 1/2 filiżanki soku z ananasa, soli, pieprzu, octu ucieramy sos i polewamy nim kapustę wymieszaną z ananasem i drobno pokrojoną papryką. Odstawiamy na 15 min w chłodne miejsce.

Soczewica w sosie czosnkowym

Ugotować 2 szklanki soczewicy, czosnek drobniutko posiekać (4 ząbki). Cztery pomidory drobno posiekać, 1 paprykę chili drobno posiekać.

Na patelni rozgrzać 3 łyżki oliwy lub składowanego masła, włożyć czosnek i mieszając, smażyć, aż się zarumieni. Następnie dodać paprykę chili i pomidory, dusić chwilę z sokiem z cytryny, solą, pieprzem, sproszkowaną papryką. Wymieszać z soczewicą, chwilę dusić razem. Podawać jako samodzielne danie.

Życzę SMACZNEGO i zapraszam do następnych publikacji.

(KS)



Kultura

Zapraszamy do korzystania z wielu ośrodków kultury Wrocławia, miasta pełnego miejsc, które sprawią, że odpocznimy po ciężkim dniu pracy czy rozwiniemy nasze zainteresowania. Spotkania z przyjaciółmi po wspólnie przeżytej sztuce z pewnością zgłębią w nas człowieczeństwo. Zapraszamy do odwiedzin wrocławskich miejsc kultury.

REPERTUAR – GRUDZIEŃ

FILHARMONIA WROCŁAWSKA

Sala Koncertowa Filharmonii Wrocławskiej

FILHARMONIA FAMILIJNA

Koncert Mikołajkowy

Tadeusz Grudziński – dyrektor, Zgorzelecka Orkiestra Mandolinistów

2 grudnia – 11:00

5 grudnia – 10:00, 12:00

KONCERT SYMFONICZNY

Marek Pijarowski – dyrygent, Bogdan Czapiewski – fortepian, Orkiestra Filharmonii Poznańskiej

7 grudnia – 19:00

KONCERT SYMFONICZNY

Jacek Kasprzyk, Piotr Paleczny, Orkiestra Filharmonii im. W. Lutosławskiego

8 grudnia – 18:00

KONCERT SYMFONICZNY

Wojciech Rodek – dyrygent, Jarosław Pietrzak – skrzypce, Michał Micher – altówka, Michał Szczepański – fortepian, Orkiestra Symfoniczna im. Karola Lipińskiego we Wrocławiu

12 grudnia – 19:00

KONCERT SYMFONICZNY

Lukasz Borowicz – dyrygent, Tomasz Strahl – wiolonczela, Orkiestra Filharmonii im. W. Lutosławskiego

14 grudnia – 19:00

KONCERT CHÓRALNY

Rosyjski Państwowy Chór Kameralny
Władimir Kontariew – kierownik artystyczny i dyrygent

Kolędy polskie i prawosławne

18 listopada – 19:00

KONCERT SYMFONICZNY

Daniel Raikin – dyrygent, Hagai Shaham, Orkiestra Filharmonii im. W. Lutosławskiego

21 grudnia – 19:00

KONCERT KAMERALNY

Spirituals Singers Band

Kolędy Świata

29 grudnia – 18:00

V FESTIWAL NOWOROCZNY

„MUZYCZNE FASCYNACJE”

Koncert Sylwestrowy

Radosław Pujanek – prowadzący, Olga Ksenicz – sopran, Jerzy Skoczylas – prowadzenie koncertu, Orkiestra Filharmonii im. W. Lutosławskiego

30 grudnia – 18:00

31 grudnia – 18:00, 21:00

TEATR MUZYCZNY CAPITOL

ul. Piłsudskiego 67 – Duża Scena

KAJ I GERDA –

BAŚŃ O KRÓLOWEJ ŚNIEGU

6, 7, 11, 12 grudnia – 10:30

8 grudnia – 16:00

OPERETKA

14, 15 grudnia – 19:00

SWING!

31 grudnia – 18:00, 21:00

TEATR MUZYCZNY CAPITOL

ul. Piłsudskiego 72 – Mała Scena

OJCOM I MATKOM WBREW.

PIOSENKI KURTA WEILLA

4, 5 grudnia – 20:00

RZECZE BUDDA CHINASKI

8 grudnia – 20:00

MDŁOŚĆ, MNIEŻŁOŚĆ, MIŁOŚĆ

12 grudnia – 20:00

OPERA WROCŁAWSKA

ul. Świdnicka 35

COSI FAN TUTTE

W.A. Mozart

1 grudnia – 19:00

2 grudnia – 17:00

DZIADEK DO ORZECHÓW

P. Czajkowski

4-6 grudnia – 11:00

11-14 grudnia – 17:00

CURULIK SEWILSKI

G. Rossini

7, 8 grudnia – 19:00

9 grudnia – 17:00

KRÓL ROGER

K. Szymanowski

15 grudnia – 19:00

16 grudnia – 17:00

KULISY OPERY

Spotkanie z Michałem Znanieckim

– reżyserem premiery

16 grudnia – 12:00

RIGOLETTO

G. Verdi

21, 22 grudnia – 19:00

23 grudnia – 17:00

ZEMSTA NIETOPERZA

J. Strauss

30 grudnia – 19:00

31 grudnia – 18:00

BAL SYLWESTROWY

31 grudnia – 21:30

TEATR POLSKI

Scena im. Jerzego Grzegorzewskiego,
ul. G. Zapolskiej 3

VERKLÄRTE NACHT

14, 15 grudnia – 18:00

JULIUSZ CEZAR – PREMIERA

16 grudnia – 19:00

JULIUSZ CEZAR

18-20 grudnia – 19:00

TEATR POLSKI

Scena Kameralna, ul. Świdnicka 28

ŚMIERĆ PODATNIKA - PREMIERA

7 grudnia – 19:00

ŚMIERĆ PODATNIKA

8-9, 11-13 grudnia – 19:00

SMYCZ

19-20, 27-28 grudnia – 19:00

OKNO NA PARLAMENT

29-30 grudnia – 19:00

20 NAJŚMIESZNIEJSZYCH

PIOSENEK NA ŚWIECIE

25-16 grudnia – 19:00

TEATR POLSKI

Scena na Świebodzkim,
pl. Orłąt Lwowskich 20c

ZAŚNIJ TERAZ W OGNIU

2 grudnia – 19:15

3 grudnia – 19:00

LINCZ: PANI AOI. WACHLARZ. SZAFKA

7-9 grudnia – 19:00

GALAPAGOS –

WROCŁAWSKI TEATR PANTOMIMY

14-16 grudnia – 19:00

PREZYDENTKI

19-20 grudnia – 19:00

DZIADY – EKSHUMACJA

27-28 grudnia – 19:00

34. OGÓLNOPOLSKI FESTIWAL CHÓRÓW AKADEMICKICH „BARBÓRKA 2007”

KONCERT INAUGURACYJNY

6 grudnia, czwartek, godz. 19:00, Aula Leopoldina Uniwersytetu Wrocławskiego

KONCERT FESTIWALOWY

7 grudnia, piątek, godz. 19:00, Aula Leopoldina Uniwersytetu Wrocławskiego

KONCERT FESTIWALOWY

8 grudnia, sobota, godz. 18:00, Aula Leopoldina Uniwersytetu Wrocławskiego

KONCERT FINAŁOWY

9 grudnia, niedziela, godz. 18:00, sala Filharmonii Wrocławskiej

Bilety w cenie 20 zł normalne, 10 zł ulgowe do nabycia w kasie Filharmonii
prowadzenie koncertów – Iwona Klein-Polak, Joanna Polak

Zagadka

Była misjonarką i mistyczką. Nazywana jest „św. Teresą Nowego Świata”. Urodziła się 22 października 1599 r. w Tours we Francji. Wyszła za mąż w 1617 r., a dwa lata później już owdowiała. Kierując się przeżywanymi już od dzieciństwa wizjami, wstąpiła w 1617 r. do urszulanek, a w 1639 r. udała się do Kanady, gdzie w Qebecu założyła pierwszą w Kanadzie filię swojego zgromadzenia. W ciągu następnych 33 lat, aż do śmierci, która nastąpiła 30 kwietnia 1672 r., niestrudzenie i z całkowitym poświęceniem dążyła do nawrócenia Indian. Podaj imię i nazwisko tej pełnej poświęcenia zakonnicy.

W odgadnięciu tego pomoże Ci niżej widoczna dwuczęściowa łamigłówka logiczna.

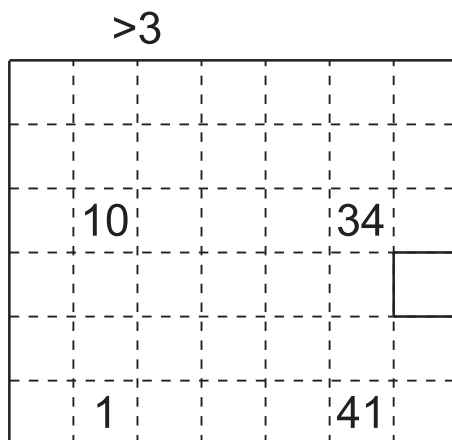
Tajemniczy labirynt

(I etap rozwiązywania łamigłówki)

Niektóre pola widocznego obok diagramu należy rozdzielić grubą linią. Linia rozdzielająca może przechodzić jedynie wzdłuż linii przerywanych (nakładać się na linię przerywaną). Grube linie rozdzielające powinny tak przebiegać wzdłuż linii przerywanych, aby powstał labirynt – droga wychodząca z pola nr 1, przechodząca przez każde pole diagramu dokładnie je-

den raz i kończąca się w polu nr 41. Grube linie mają rozdzielać te wszystkie sąsiednie pola diagramu niebędące polami, przez które kolejno się przechodzi, idąc wzdłuż drogi-labiryntu, zaczynającego się w polu nr 1, a kończącego się w polu nr 41.

Oznaczenie w formie „>3” znajdujące się u góry, na zewnątrz diagramu, infor-



muje, że najdłuższy, znajdujący się pod tym oznaczeniem fragment linii rozdzielającej, na którym nie występują żadne załamania, jest ponadtrzykrotnie większy od długości boku jednej kratki.

Znajdujące się w czterech polach diagramu liczby informują o tym, którą w kolejności kratkę występującą na drodze łączącej pola z nr. 1 oraz 41 jest dana kratka.

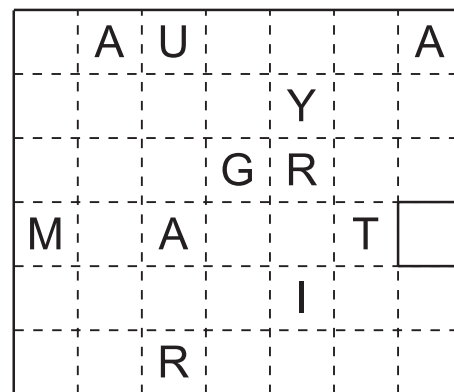
Przykład:

6	7	10	11
5	8	9	12
4	3	14	13
1	2	15	16

Połączenie łamigłówki z zagadką (II etap)

Do widocznego poniżej diagramu z literami należy przenieść rozwiązanie z pierwszego etapu, czyli rysować grube linie rozdzielające poszczególne pola diagramu. Powstanie w ten sposób labirynt. Idąc od początku labiryntu do końca, należy czytać litery w kolejności ich napotkania i wpisywać je do widocznych niżej kółeczek.

Po przejściu przez cały labirynt otrzymasz imię i nazwisko niestrudzonej misjonarki, oddanej całkowicie Bogu i ludziom.



Zadanie przygotował „Świat Matematyki” – jedyne w Polsce czasopismo wydawane specjalnie z myślą o młodzieży szkolnej. Zapraszamy na naszą stronę:

<http://www.swiatmatematyki.pl>

Zielony rosół

Po całym tygodniu ciężkiej pracy w domu mama w końcu opadła z sił.

– Jestem zmęczona – westchnęła – wciąż gotuję, zmywam, piorę i sprzątam. Nikt mi nie pomaga! Tato ciągle w pracy, a synek...

– Nie umiem przecież gotować – oznajmił beztrudnie Kacper i wysypał na dywan całe pudełko klocków. Rozsypały się wokół, kilka nawet potoczyło się pod łóżko i szafę.

– Ale sprzątać mógłbyś – zauważyła mama.

– No. Zaraz – powiedział Kacper i pomyślał, że właściwie nie ma ochoty bawić się klockami. Podeszedł do półki i zdjął z niej pudło z samochodami – były to piękne autka, bardzo szybko jeżdżące, kiedy je w odpowiedni sposób nacisnął.

– A klocki? – zapytała mama.

– Zaraz!

– Aha, zaraz? – zbuntowała się mama – zaraz to ja stąd wyjdę, bo nie chcę już sprzątać po takim bałaganiarzu!

– I co zrobisz? – zaniepokoił się chłopiec.

– Wyjadę! Może na wieś? I odpocznę sobie.

– Nie możesz wyjechać, przecież ty nie umiesz kierować autem.

– To pociągiem!

– Pociągiem też nie umiesz kierować! – zauważył rezolutnie Kacper i wrócił do zabawy.

Tatusz, który przysłuchiwał się ich rozmowie, parsknął śmiechem. Mama groźnie spojrzała na niego:

– Ach tak?! – zirytowała się – to jadę!

Przebrała się w wygodne ubranie, wrzuciła do plecaka kilka kanapek i termos z herbatą i oświadczyła:

– Wyjeżdżam do cioci na wieś, wrócę wieczorem. Mam nadzieję, że sobie poradzicie.

– Oczywiście, że sobie poradzimy! – zapewnili ją Kacper i tatusz – a co nam ugotowałaś na obiad?

– Ha, ha, ha – zaśmiała się mama – obiadek sami sobie musicie ugotować! – i cmoknąwszy ich na pożegnanie, naprawdę wyszła.

– No, synku, to zostaliśmy sami.

– No i dobrze, wreszcie będziemy mogli bawić się bez rządzenia!

– Co chciałbyś robić?

– Pościgajmy się, czyje auto prędzej dojedzie od drzwi do końca dywanu.

Tato usadowił się na podłodze obok Kac-

pra i zaczęli się bawić. Było wspaniale – kolorowe samochodziki mknęły i ścigały się jak na najprawdziwszym torze wyścigowym, można było głośno wołać: brrrum, brrruuummm! Albo: iii... – z piskiem opon brać zakręty i nikt ich nie uciszał.

– Mama nigdy nie pozwala mi hałasować – poskarżył się Kacper – a nieraz to jest konieczne i niezbędne. Na przykład kiedy bawię się w policjanta, to muszę głośno gwizdać, bo inaczej złodzieje by się nie bali. A mama grozi, że zabierze mi gwizdek.

– Bez gwizdka nie umiesz gwizdać? – zapytał tatusz.

– Umie, ale tylko wciągając.

Później zrobili zawody w rzucaniu piłką, lecz szybko je skończyli – przy pierwszym stłuczonym wazoniku.

– Oj, mama będzie zła! – zmartwił się Kacper.

– Będzie jej przykro – tato zebrał ostrożnie szkło z podłogi – to był jej ulubiony wazonik.

– Zupełnie zapominałem, że w mieszkaniu nie powinno się rzucać piłką – zasmucił się Kacper.

– Ja też zapominałem – wyznał tato.

– A ja myślałem, że to się przytrafia tylko dzieciom? – zdumiał się synek.

– Niestety, niedostatek... – westchnął tatuś.
– Posprzątam. I co teraz?

– Zabawmy się w Indian!

Z koca, narzuty na łóżko, stołu i krzesła zbudowali sobie najprawdziwszy indiański wigwam. Kacper był wodzem, a tato szamanem. Na prerii upolowali dzikie bizony – ciasteczka, które usmażyli nad ogniskiem, zbudowanym z klocków. Ognisko też było prawie prawdziwe i palił się w nim ogień z latarki.

– Szamanie – powiedział wódz – zapalmy fajkę pokoju!

– Nie mamy fajki – zmartwił się szaman.

– To nic, może być taka na niby, niewidzialna.

– Oczywiście – zaśmiał się szaman i sięgnął po niewidzialną fajkę.

Bawili się już dłuższy czas, upolowane ciasteczka dawno się skończyły, zaczęli być głodni.

– Burczy mi w brzuchu – wyznał tatuś – zjadłbym coś!

– Chcesz niewidzialnego cukierka? – zapytał Kacper – czekoladowy, proszę!

Tatuś wziął cukierka i zjadł.

– Ach, jaki pyszny! – oblizał się ze smakiem.

– Ha, ha, ha! – roześmiał się Kacper. Chichotał tak, że łzy stanęły mu w oczach.

– Co... z czego się śmiejesz?

– Przecież on był w papierku! – synek śmiał się tak, że aż poturłał się po podłodze. A tatuś razem z nim. Kiedy już wreszcie przestali, tato powiedział:

– Posłuchaj, wodzu, ale ja naprawdę jestem głodny.

– To ugotuj obiad – poradził Kacper.

– A co ty byś zjadł?

– Może słodki serek? I zupę. Rosółek, taki dobry jak mama robi.

– Hm – chrząknął tatuś – no, zobaczymy. Pomożesz mi? – i poszli razem do kuchni.

– Wodzu... – zaczął tatuś.

– Nie, teraz jestem pomocnikiem kucharza – oświadczył Kacper.

– Aha. A zatem, kucharziku, proszę przygotować wszystko, co trzeba do serka na słodko.

– Twarożek, śmietana, cukier... mąka też będzie potrzebna? – zapytał Kacper, stojąc przed otwartą szafką.

– Raczej nie. Nawet do rosółu się nie przyda.

– To co jeszcze? Cukier malinowy?

– Waniliowy. Może być.

I tak sobie razem kucharzyli. Ser na słodko wyszedł im zupełnie nieźle, trochę gorzej było z rosółem.

– Jakiś dziwny – Kacper nieufnie zajrzał do garnka – mamie nie wychodził zielony. Co do niego dodałeś?

– No... – zastanowił się tatuś – kurczaka

z lodówki i jarzyny. Pietruszkę, marchewkę, seler. Nie znalazłem pora, więc dałem cebulę. Myślisz, że to od niej?

– W smaku też dziwny – Kacper spróbował ostrożnie – mało słony, podaj solniczkę! – tato posłusznie podsunął sól – i trochę gorzki, może go posłodzimy?

– Czy ja wiem... – tato stał bezradnie na środku kuchni – nie wiem, czy mama ma zwyczaj sładzić rosół.

– Też nie wiem, ale to chyba bez znaczenia, skoro i tak już jest zielony.

Dobrze chociaż, że makaron im wyszedł, pewnie dlatego, że nie robili go sami, tylko ugotowali kupowany.

– Takie gotowanie to ciężka sprawa – westchnął tatuś – a ile przy tym robi się bałaganu! Kiedy ta mama zdąży z obiadkami? I zmywaniem – rozejrzał się po kuchni pełnej brudnych naczyń, sztućców i obierek – pomożesz mi, synu?

– Oczywiście. Ty myj, a ja będę płukał!

Kiedy skończyli porządki w kuchni, postanowili odpocząć.

– Pobawmy się! – zaproponował Kacper i poszli do jego pokoju.

– Oooc...! – zawołał tato, ujrawszy po-

bojowisko pozostałe po polowaniu na bizona i innych zabawach – nie możemy tego tak zostawić! Chodź, razem pójdzie nam szybciej.

I rzeczywiście, tato poskładał kocy i krzesła, Kacper zebrał do pudełka wszystkie klocki i poszukał aut powjeżdżanych pod łóżko i szafę i nareszcie odetchnęli z ulgą. Kacper usiadł na kolanach taty zagłębionego w fotelu i przytulił się do niego...

Tak zastała ich mama, kiedy wieczorem wróciła do domu. Najpierw rozejrzała się po kuchni – „Kochani, ugotowali obiad! O, zielony rosółek?” – przyjrzała mu się i z uśmiechem pokiwała głową. Popatrzyła na rozsypaną na podłodze mąkę i kruszyny sera, na zachlapaną rosółem kuchenkę i poszła do pokoju. Tam ujrzała swoich chłopaków wtulonych w siebie i śpiących jak aniołki. W dywan wdeptane były ciastka, obrus zniknął ze stołu. Mama odruchowo podniosła z podłogi leżącą tam latarkę i podeszła do fotela. Odgarnęła tatusiowi grzywkę z oczu, pocałowała w czubek głowy Kacperka, który poruszył się i westchnął.

– O, mama! Wróciłaś? – otworzył oczy. – Mamusiu – wymruczał, jak to robisz, że rosół nie wychodzi ci zielony?

– Dodaję do niego marchewkę b e z natki – wyjaśniła mama.

Przykryła ich kocem i wyszła, po cichutku zamykając drzwi.

Agnieszka Gil



rys. Martyna Gil